PRO CHRISTO
WIARA I CZYN
ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK
Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.
Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.
P. K. O. 10.115 Telefon 763-44

NACZELNY REDAKTOR: STEFAN KACZOROWSKI
przyjmuje interesantów w środy i piątki między 18.30 a 19.
Biuro i telefon czynne w dni powszednie od g. 11 do 12 i od 15.30 do 17
Redakcja rękopisów nie zwraca

Pro Christo.

Wskazania Stolicy Apostolskiej.

Ku wielkiej radości wiernych obecnie nam panujący Namiestnik Chrystusowy nie ogranicza się do zasadniczych wskazań udzielonych chrześcijaństwu w encyklikach, lecz daje się również słyszeć w allokucjach, wygłaszanych od czasu do czasu, zwłaszcza z okazji większych świąt i uroczystości.

Podczas świąt Bożego Narodzenia Ojciec św., odpowiadając na życzenia dziekana Kolegjum Kardynałów, wygłosił w obecności ks. ks. Kardynałów, Biskupów i dostojników Citta del Vaticano allokucję, która była transmitowana przez radjo i mogła być usłyszana przez wszystkich wiernych. Podajemy według K.A.P. streszczenie słów Namiestnika Chrystusowego:

„W mowie tej Papież wspominał o cierpieniach, zadanych Kościołowi i wiernym w Hiszpanji, Meksyku i Rosji, i wskazał nieporozumienia oraz brak ufności między społeczeństwami i rządami, co w konsekwencji przedłuża i pogłębia kryzys ekonomiczny, sprawiając, że niedola biednych klas pracujących staje się coraz cięższą. Wspomniawszy dalej o radosnych wydarzeniach, jak tryumfalny kongres eucharystyczny w Dublinie, rozwój misyj i instytucji misyjnych, wspaniały rozrost Akcji katolickiej i przykłady bohaterskiej, aż do męczeństwa wiary biskupów, kapłanów, zakonników i wiernych we wspomnianych kra-

jach, Pius XI wyraził zadowolenie z powodu zawieszenia broni między wojskami Boliwji i Paragwaju na czas Bożego Narodzenia.

Papież skorzystał ze wspaniałego wynalazku Marconiego, celem bezpośredniego zwrócenia się do Episkopatu, kapłanów, zakonników zakonnic,a zwłaszcza misjonarzy, wiernych, neofitów, katechumenów i katechetów z życzeniami wszelkich łask Bożych, pocieszenia i uświecenia. Ojciec św. życzy również wszystkim ludom pokoju, wzajemnej ufności, szlachetności, które ułatwiają pracę i zmniejszają ciężary życia. Ale Namiestnik Chrystusowy nietylko składa życzenia, ale zwraca się również z innem jeszcze wezwaniem do całej ludzkości.

Zbliżający się rok 1933, zgodnie z tradycją powszechną, jest 1.900-ną rocznicą Boskiego dzieła Odkupienia, a zarazem rocznicą ustanowienia św. Eucharystji na Ostatniej Wieczerzy, udzielenia Apostołom władzy kapłańskiej, Męki, Ukrzyżowania i śmierci Jezusa, oddania ludzkości w opiekę Marji jako Matce, Zmartwychwstania, udzielenia mocy odpuszczenia grzechów, prymatu Piotra, Wniebowstąpienia, Zesłania Ducha Świętego i początków działalności apostolskiej. Nauka nie potrafi kategorycznie stwierdzić, czy rok 1933 jest rocznicą tych wydarzeń, ale według niej istnieje większe prawdopodobieństwo co do roku 1933, wzgl. 1930, niż co do 1934, chociaż za tą ostatnią datą wypowiadają się takie powagi, jak Bellarmino lub Baronjusz. Dlatego Papież wzywa wszystkich chrześcijan do święcenia w najbliższym roku tego wielkiego jubileuszu śmierci Chrystusa i całego szeregu związanych z nią faktów.

Tylko Kościół katolicki zachowuje w nieskażony sposób Krew Chrystusową, tę cenę naszego odkupienia, ze związanemi z nią darami Łaski wraz z Boską obietnicą ich wiekuistej obfitości. Żaden z jubileuszów nie może być wspanialszy, żadna uroczystość bardziej obowiązująca, szczególnie w naszej epoce tak częstych obchodów jubileuszowych. Niepewność daty nie jest dostatecznym powodem do zaniechania uroczystości. Jeżeli ludzkość w roku 2.033 zdoła pozyskać przez nowe odkrycia pewność co do daty, to będzie umiała spełnić swój obowiązek. My dziś powinniśmy spełnić swój. Niełatwo będzie mieć korzyści z tego obchodu, skoro dziś świat nie potrafi mówić zgodnie o konfliktach i nieporozumieniach: o zbrojeniach i rozbrojeniu,. o płaceniu reparacji i długów, o coraz większym zaniku zdolności płatniczej i nieskończonej nędzy jednostek i społeczeństw.

Odczuwa się natomiast konieczność powrotu do zainteresowań sprawami ducha i jego godnością, dzięki ojcowskiej łasce Chrystusowej, uświęcającej posłannictwo Kościoła. Takie wzniosłe i święte myśli z konieczności łączą się z faktami, które będą przedmiotem tego obchodu. Dlatego Papież poleca, by uroczystość trwała przez cały rok i ogłasza święty jubileusz odrodzenia moralnego, tak koniecznego w dzisiejszych czasach odnowienia pogaństwa i pogoni za pieniądzem. W celu objęcia okresem jubileuszowym również 1934 roku oraz umożliwienia Episkopatowi, duchowieństwu i wiernym odpowiednich przygotowań, Ojciec św. ustala początek jubileuszu na dzień 2-gi kwietnia 1933, t. j. na niedzielę Męki Pańskiej, z tem, że zakończy się on 2-go kwietnia 1934 r., w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy.

Z początkiem nowego roku Papież ogłosi odpowiednie dokumenty i wskazówki w tej sprawie.

Allokucję swą Pius XI zakończył prośbą o błogosławieństwo Boże dla tych poczynań i udzieleniem swego apostolskiego błogosławieństwa wszystkim obecnym i nieobecnym, blizkim i dalekim".

Znamienne są poszczególne myśli zawarte w allokucji. Niektóre z nich dla ilustracji cytujemy dosłownie:

„Zachowaliśmy inne jeszcze poselstwo — powiedział Pius XI w tej swojej allokucji — do wszystkich naszych drogich dzieci w Chrystusie, nawet do całej ludzkości, dla której całości Jezus Chrystus, Zbawca świata, przelał swą Boską krew, jako zapłatę za odkupienie, otwierając źródło łaski, aby w nich wszyscy ugasili pragnienie i znaleźli żywot i obfitość żywota"...

„Obowiązujący to i błogosławiony obchód — mówił Ojciec św., — a przeto przez bardzo wielu upragniony: — i nie małą już będzie korzyścią, że świat przestanie słuchać wyłącznie, albo prawie wyłącznie — o konfliktach i sprzecznościach, o nieufności i braku zaufania, o uzbrojeniach i rozbrojeniu, o odszkodowaniach i reparacjach, o długach i ich spłatach, o odroczeniach i niewypłacalności, o interesach gospodarczych i finansowych, o nędzy jednostek i nędzy społecznej — że będzie słyszał nietylko o tych rzeczach, ale także i o wzniosłych sprawach ducha i o potężnem wezwaniu powrotu do życia duchowego, do spraw tego życia, powrotu do uznania godności ich i szacowa-

nia we krwi i łasce Chrystusowej, do braterstwa wszystkich ludzi przez tę krew w sposób Boski przypieczętowanego, do zbawczej misji Kościoła wśród ludzkości"...

„Jakże więc boleśnie mylą się ci wszyscy, którzy tak kierują sprawami państwa, jakby nie istniał żaden cel najwyższy ludzkości i jakby nie trzeba było zupełnie liczyć się z obowiązkiem uczciwego używania dóbr tego życia, oraz ci, których jest bardzo wielu, a którzy sądzą, że praw ustanowionych dla rządów państwem i dla dobrobytu ludzkiego rodzaju nie można pogodzić z przykazaniami Tego, który powiedział: — niebo i ziemia przeminą, lecz słowa moje nie przeminą!"

Uderza nas tutaj podkreślenie nadwyraz wysokiej, opartej na wartościach życia nadprzyrodzonego roli Kościoła Chrystusowego wobec świata, jego potrzeb, zadań, trosk i nieporozumień, bardzo często małostkowych. Słowa Papieża przypominają nam, jak mało społeczeństwa współczesne znają i stosują zasadę hierarchji celów i zadań, jak bardzo często postulaty czysto materjalne i zewnętrzne przenoszone są ponad problemy życia nadprzyrodzonego, stanowiące źródło i istotę bytu. Obchód 1900 lecia i rok jubileuszowy są środkiem pedagogicznym Kościoła do skierowania serc i sumień ludzkości w kierunku właściwym.

Nie możemy się powstrzymać od zacytowania i przypomnienia czytelnikom jeszcze jednego przemówienia, wygłoszonego przez Ojca św. w lutym r. z. przy okazji ogłoszenia dekretu o heroizmie cnót Marji Dirosa, założycielki zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, zmarłej w Brescii w r. 1855:

„Przy tej okazji Ojciec św. wygłosił przemowienie, w którem podkreślił znaczenie uczczenia pamięci tej tak zasłużonej w dziele powszechnego miłosierdzia służebnicy Bożej wtedy, gdy doktryny społeczne burzą jedne warstwy społeczne przeciw drugim, gdy przesadny nacjonalizm podnosi przeciw sobie narody, czego nieuniknionym skutkiem jest kryzys ogólny i to, że w ślad za pogonią za pieniądzem występuje pogoń za chlebem. Zaiste opatrznościowem w takiej chwili jest wspominanie tej, co była prawdziwym genjuszem dobroci, tej, co wszystkim chciała okazywać pomoc, która, pochodząc z rodziny szlacheckiej, okazała szlachetną pogardę dla bogactw i wygód życiowych, — w przeciwstawieniu do powszechnego w dobie obecnej pożądania pieniądza jako narzędzia do wszelakiego używania.

Dziś z faktów wiemy, że wielu żyje dostatnio nie troszcząc się o biednych. Dirosa natomiast wskazywała nam, jaki należy czynić użytek z bogactw, które Bóg nie wszystkim jednakowo rozdzielił, lecz niektórym dał w większej obfitości, aby stali się narzędziem Jego dobroci względem biednych a nawet tych, co, niedość obficie zaopatrzeni, nie potrafiliby zarządzać swemi własnemi dobrami. Najgorszymi panami są ci, co pieniądze używają dla zaspokojenia swego egoizmu. Pieniądz sam w sobie nie posiada wartości, prywatne zaś i zbiorowe spuścizny rozpływają się, gdy nieudolnie odpowiadają potrzebom życia.

Świętych sam Bóg nauczył traktować bogactwo z nieskończoną dla niego pogardą. „Nie czulibyśmy się na wysokości Naszego zadania — mówił dalej Papież — gdybyśmy nie dziękowali Boskiej Dobroci za pierwszą zorzę dni lepszych, która zdaje się dziś barwić zaciemniony horyzont.

Obowiązek ten odczuwamy tem mocniej, że zwróciliśmy się do ludzkości, aby skierowała się ku Bogu w duchu pokuty i modlitwy dla osiągnięcia tego miłosierdzia, którego początek, choć słaby jeszcze, zdajemy się widzieć, odczuwając coraz większą potrzebę stałego w nim postępu. Pocieszającem jest pomyśleć, że pierwsze blaski lepszej zorzy wytrysnęły w końcu miesiąca poświęconego Sercu Jezusowemu, w którym ogłosiliśmy Nasze weżwanie do modłów. Musimy trwać nadal w modłach tem pełniejszych ufności im bardziej Bóg zdaje się chcieć wysłuchać je".

Następnie Ojciec św. wspomniał o stale w dziesiątkach tysięcy nadchodzących do Niego wiadomościach o modłach czynionych zgodnie z jego intencją, wspominając ze szczególną radością o modłach dusz młodocianych, w pierwszym kwiecie niewinności, dusz pełnych wiary, dusz oczyszczonych ze słabości, która cierpienie ich zamieniła w apostolstwo. (KAP.)".

W przemówieniu tym, jak i wielu innych, Namiestnik Chrystusowy zwraca w szczegolny sposób uwagę na dwa grożące ludzkości niebezpieczeństwa, wypływające z szowinizmu i przesadniego nacjonalizmu, oraz wywrotowych doktryn społecznych, opartych na współczesnym kryzysie gospodarczym. Najbardziej skutecznym antidotum przeciwko tym głębokim konfliktom, nurtującym w ludzkości współczesnej — jest, oprócz niezbędnych reform ustrojowych, prawnych, społecznych i ekonomicznych —

stosowanie cnót chrześcijańskich, z których te reformy wypływają i bez których byłyby one czczą formą bez treści.

Marja Diresa stosowała cnotę miłosci w sposób heroiczny nie tylko w sferze życia wewnętrznego, lecz także w działalności zewnętrznej i dlatego Jej sylwetka duchowa winna być wyróżniona w czasach dzisiejszych tytułem kontrastu z chciwością i materjalizmem współczesnego społeczeństwa, aby wstrząsnąć sumieniem dzisiejszego człowieka naprowadzić go na drogę prawdy i sprawiedliwości.

Klasyk teologji o modlitwie.

Zagadnienie, czy oddać się modlitwie prywatnej, czy urzędowej czy jednej i drugiej, przynajmniej raz w życiu każdego myślącego katolika poważniej zaniepokoi. To, co jednostka przeżywa w zakresie swej osobistej umysłowości, to Kościół przetrawiał jako organizm żyjący kilkakrotnie w ciągu swego istnienia. Jednostka jest bowiem skrótem historji całego Kościoła, przechodzi ona swój okres ząbkowania moralno-religijnego, doznaje przeobrażeń duszy młodzieńczej, podlega wstrząsom pierwiastka doczesnego z wiecznym, czyli ducha z ciałem w wieku dojrzałym, a wreszcie ustala i zaokrągla swe poglądy, gdy życie się ma ku zachodowi.

Pod koniec XVII w. wznowiono dyskusję na temat jakości modlitwy pod względem formalnym, jak mówi się w języku potocznym, a materjalnym jakby powiedział filozof scholastyczny.

Dyskusja skupiła się około osoby oratorjanina czyli filipina Ludwika Thomasina (1619—1695). Był to syn upalnej ziemi prowansalskiej. Wymienia się go zwykle wśród zwolenników głośnego kardynała Bérulle'a, wskrzesiciela oratorjum św. Filipa we Francji, a wymienia w towarzystwie trzech innych współwyznawców idei wielkiego purpurata: Noulleau, Séguenot i Clugny. Rodzina wywodzi się podobno z Burgundji, a przeniosła się później do Prowancji, gdzie przebywała cały XVI i XVII w. Krajowi dostarczała urzędników o wiedzy fachowej i wielkiej zacności. Ojciec Ludwika, Józef, także był funkcjonarjuszem ministerstwa skarbu w mieście Aix. Prowancja, to kraj, w którym czyny są nieraz pochopne, a dusza mil-

---

Brémond, Histoire littéraire du sentiment religieux tom 7, str. 374-415.

cząca, skupiona, surowa, prawie zimna. Stąd upodobanie do kierunku religijnego, który hodowało w sobie oratorjum św. Filipa. Pisarz współczesny przedstawia nam Ludwika jako ucznia gimnazjalnego w Marsylji i w Aix. Objawiał on od pierwszej młodości żywość umysłową, łatwość w kierunku literackim, duszę miał łagodną i wesołą, postępowanie równe zawsze, wzrostu był drobnego i postawę miał prawie panieńską. Roku 1645 został profesorem filozofji, interesował się wszelkiemi aktualnemi odmianami myśli filozoficznej, wczas uległ urokowi św. Augustyna i stał się jego popularyzatorem. Stąd wypływało jego upodobanie w filozofji platońskiej. Od roku 1634 do 1668 wykładał z wielkiem uznaniem teologję pozytywną w Saint Magloire. Skłaniał się przez pewien czas ku kierunkowi, idącemu z Port-Royal. Z zapałem studjował Ojców Kościoła w oryginale, wskutek czego złagodził swe uwielbienie dla św. Augustyna. W pierwszej książce o soborach okazał się nieprzychylnym galikanizmowi, wskutek czego naraził się na niepopularność a nawet na pewne dokuczliwości, które znosił z pogodą i spokojem ducha, choć nigdy nie pragnął on sporów, przeciwnie unikał ich i ustępował, gdzie tylko się dało; dla świętej zgody szedł na kompromisy, dzięki czemu jego system przedstawia się nieco eklektycznie. Jego słabość do chodzenia po grudzie wyzyskano, żeby go przerzucać z jednej rezydencji do drugiej. Wreszcie umieszczono go w Paryżu, w domu rekolekcyjnym i głównym nowicjacie Zgromadzenia, gdzie spędził zgórą lat 16 (1673—1689). Porządek dnia miał niewzruszony; po modlitwie i Mszy św. cztery godziny studjów przed południem i trzy godziny po południu, nigdy więcej, nigdy mniej, żadnych też nie uznawał wakacyj w ciągu roku. Nie lubił wizyt, chętnie natomiast rozmawiał z najmłodszymi członkami domu zakonnego. Temu sposobowi życia zawdzięczamy dwa arcydzieła teologiczne o dyscyplinie Kościoła i o jego dogmatach, pomijając mnóstwo pożytecznych, ale pomniejszych pism. Papież Inocenty XI chciał nim ozdobić dwór rzymski, a uczonego purpurą kardynalską, czemu zapobiegł Ludwik XIV, twierdząc, że i kraj potrzebuje takiej ozdoby. W pismach z dziedziny historji filozofji piórem mistrza wskazuje na pszenicę i plewy w myślowej robocie ludzkości. W tych i w innych dziełach argumenty czerpie z Platona i filozofowi grec-

kiemu wyznacza rolę obrońcy i tłumacza swych zasad filozoficzno dogmatycznych. Wyczerpany długoletnią pracą, wróciwszy do Saint Magloire w r. 1690, żył jeszcze pięć lat w stanie nieudolności dziecięcej, a upokorzenia tego stanu przyjął jak dziecko, nie szemrząc, lecz coraz bezgraniczniej oddając się w ręce Opatrzności Bożej.

Postanowiwszy sobie rozwinąć rozumowanie Thomassine o modlitwie, uważaliśmy, że dla ogólnej kultury warto w kilku rysach zapoznać się z biegiem życia tego klasyka teologji katolickiej. A teraz ad rem!

Traktat o modlitwie brewjarzowej. — Tytuł jego w całej rozciągłości brzm: Traktat o modlitwie brewjarzowej dla duchownych i świeckich, podzielony na dwie części: pierwsza mówi o łączności z modlitwą myślną oraz innemi modlitwami ustnemi, z czytaniem Pisma Świętego, Ojców i żywotów świętych; druga o powstaniu i przemianach, które się dokonały w ciągu wieków.

Na tej książce zapoznać się można z metodą literacką Thomassina. Zbiera i zestawia piękne teksty, poprzednio przemedytowane, w których gustował, i które zwołane ze wszystkich stron świata, stworzyły książkę, choć w niej nie widać tego mistycznego cementu, tych łębokich wglądów, koniecznych, żeby z tego rodzaju zbiorów uczynić dzieło naprawdę osobiste. Thomassin czytał zapamiętale, a przytem roztropnie, wielki to dar niczem nie zastąpiony. Jego przykład, pisze o nim jego biograf Batterel, mógłby dużo korzyści przynieść czytelnikom ucząc ich sztuki czytania z zastanowieniem się, co nie jest rzeczą codziennie spotykaną, i sztuki odnoszenia wszystkiego do nauki i do sprawy religji. Dodaćby można, że zastosowanie się nie wystarcza. Jest to raczej dar niewątpliwy opanowania i przyswojenia przeczytanego materjału, dar czytania jednocześnie i od pierwszego rzutu okiem w charakterze ciekawego krytyka, filozofa, poety i chrześcijanina.[1]) Myśli swoje wyraża dobrodusznie, jasno, serdecznie. Nie pisze ani źle ani dobrze.

Zamiar Thomassina w tem dziele jest ten, by wykazać, że znakomitość i doniosłość swoją czerpie modlitwa liturgiczna

---

[1]) W r.1894 ponownie wydano ten traktat z niefortunnemi zmianami.

nie ze swoistego charakteru, ani ze swoich właściwych zasług, ale najsamprzód i nadewszystko z tej łączności z modlitwą myślną czyli z modlitwą „czystą", jak zwykł był ją nazywać. Tak mało myśli o przeciwstawieniu jednej formy modlitwy drugiej, albo o stawieniu modlitwy liturgicznej nad modlitwą prywatną, że gdyby miał wybór między brewjarzem a koronką różańca ś., między psałterzem uczonych i psałterzem prostaczków, to pewno dałby pierwszeństwo drugiej, jako lepiej spełniającej wyobrażenie jego o modlitwie. Nikt go chyba nie posądzi o nieznajomość albo o pogardę bogactw dogmatycznych czy poetyckich brewjarza, ale właśnie ta świetność, zamiast go olśnić, onieśmiela go, choć ukazuje się tutaj filozofem bardziej żądnym istoty rzeczy, niż ich przymiotów przelotnych albo ich wybujałości, gdyby tak wolno się wyrazić. Jeżeli jego zdaniem modlitwa liturgiczna ma prawo do miana modlitwy, to nie dlatego, iżby miała opływać bardziej od innych w tematy górne czy czułe, ale dlatego, że przeciwnie mimo tej obfitości zostaje albo może zostać z gruntu podobna do form albo metod mniej podniecających dla umysłu, jak np koronka różańca św.

Jak u wszystkich metafizyków, tak i u Thomassin'a myśl przebiega te same etapy: od strony ujemnej do oblicza dodatniego jednej i tej samej idei; z jednej strony krytyka powierzchownych czynności w modlitwie, z drugiej synteza dwu zasad podstawowych: teorja o subtelnem odczuciu i dogmat o łasce uświęcającej.

Oto jego słowa: Recz oczywista, że przed i ponad inteligencją jest na szczycie duszy jakiś zmysł tajemniczy, rodzaj taktu, który nam pozwala raczej odczuć aniżeli zrozumieć rzeczy. Jest to punkt najbardziej wysunięty w duszy, dzięki któremu przenikamy do pewnego stopnia nawet tajemnice; czujemy a nie rozumiemy jego istnienia. On sam drogą jakiegoś wrodzonego przeczucia daje nam się poznać jako coś niewypowiedzianego. In ipso mentis apice, quemdam sensum arcanum tactumque, quo res sentimus magis quam cognoscimus, tangimus magis quam intelligimus.

W tym też tajemniczym punkcie spoczywa łaska uświęcająca, miłość, która w nas się modli i w modlitwie nieustając zna tylko odmianę miłości. Quid est, ipse Spiritus inter-

pellat pro sanctis, nisi ipsa charitas, quae in te per spiritum facta est? charitas ipsa orat.

Kochać Boga, a dla miłości Boga także kochać bliźniego, pisze nasz autor, i spełniać z tej boskiej pobudki przykazania, oto modlitwa, którą Duch ś. ustawicznie wzbudza w sercu dzieci Bożych.

Wołanie, czy pokorna prośba, bardziej przez Boga wzbudzone niż przez nas samych, jest obecnością samego Boga w nas: Ipse clamare nos fecit, dum habitare coepit in nobis. Oto modlitwa, której Bóg od nas żąda, i która wywołuje w nas, (a to już są słowa autora), ponieważ Bóg sam jest ową miłością, która w nas mieszka, i tam dalej ciągnie wątek tego życia i pasmo tych modlitw, świętych uczuć i dobrych uczynków, jeżeli się w niczem nie oprzemy. Trudno nam pojąć, że Duch święty mieszka w duszach sprawiedliwych, bo zważamy tylko na poruszenia sprawiedliwości, wiary i miłości, których sprawiedliwi nie mają sami ze siebie. Natura sama ze siebie nie zdolna jest wywołać żadnego z tych bożych poruszeń. Jest to właściwość chrześcijan, jest to nawet ich charakter. Otóż nie dziw, że najmniej uduchowieni chociaż wierni z trudem rozumieją, że Duch św. mieszka w nich, ich ożywia i wprawia w ruch dusze i całe osoby, ponieważ duszy w zrozumieniu naturalnem jakgdyby się nie czuło.

Stąd autor wyłuszcza snadnie pojęcie czystej modlitwy jako skłonienie naszej woli ku ustawicznej modlitwie Chrystusa. Oto co rozumie Thomassin przez termin, niezbyt szczęśliwie wybrany, „modlitwy myślnej", która jedynie dodaje każdej modlitwie właściwy charakter. Jest to zatem spotkanie i przelanie żywego słowa Bożego do duszy i żywego słowa dusz do Boga. Modlitwa myślna, „wkradająca" się do odmawiania brewjarza zapobiega temu, by brewjarz nie był tylko wysiłkiem umysłowym, czy ascetycznym, czy też tylko trzepaniem mechanicznem. Na innych miejscach autor mówi, że psalmodja brewjarzowa powinna być przesiana aktami miłości, temi utajonemi wzdychaniami, o których mówili nam Ojcowie, albo, że modlitwa czysta powinna być uczuciem, wrażonem w głębi duszy, przez łaskę, powinna być zezwoleniem na nią w duszy. Każda godzinka brewjarzowa jest ni-

czem innem jak mieszaniną modlitwy myślnej z modlitwą ustną, wprowadzeniem do modlitwy myślnej za pośrednictwem ustnej, nowym zapałem do modlitwy myślnej zapomocą nowych wysiłków modlitwy ustnej. Modlitwa myślna, która w pojęciu autora nie jest czystą medytacją w ścisłem tego słowa znaczeniu, pozostaje ośrodkiem, ogniskiem, istotą, duszą modlącą się tej modlitwy szczególnej jak i wszystkich innych. Z tego połączenia przedziwnego mamy malowniczy obraz u dawnych pustelników. Po odmówieniu jednego psalmu modlili się chwilę, stojąc, w milczeniu; następnie razem upadli na kolana i oddawszy hołd majestatowi bożemu, wstawali pośpiesznie i odmawiali dalszy psalm.

Niewolno wątpić, pisze autor, iżby śpiew psalmu nie czerpał dużo żarliwości z tej modlitwy myślnej, która go poprzedzała i po nim następowała. Te modlitwy myślne i te przelotne akty adoracji powtarzali mnisi pod koniec każdego psalmu, aby odnowić każdej chwili ducha modlitewnego i okadzić niemi wszystkie modlitwy ustne.

Słowem, Thomassin w dziedzinie modlitwy jest panhedonistą. Obecni pisarze ascetyczni przeciwnie podkreślają stronę objektywną modlitwy czyli nie uwzględniają momentu emocjonującego w modlitwie. Każdy zresztą kierownik sumienia niezliczone razy powtarzać musi wartość spełnionego obowiązku miłości, posłuszeństwa i wiary, gdy modlitwa nie płynie samorzutnie z duszy, lecz staje się spełnieniem obowiązku.

Inny szczegół ciekawy w zapatrywaniu Thomassina na modlitwę, to ustosunkowanie się nieprzychylne do pierwiastka intelektualnego w modlitwie brewjarzowej.

Fari non potes, tacere non potes, quid restat nisi, ut jubiles? Język ludzki zawodzi, gdy chodzi o te rzeczy nadprzyrodzone, milczeć nie sposób, dusza wezbrała miłością i żąda wypowiedzenia uczuć, co pozostaje jak nie modlitwa czysta, hymn bez słów, uciecha wewnętrzna. Oto znowu w pojęciu autora pomost między modlitwą myślną i ustną. Pobudzają wewnętrzny nastrój szczątki języka hebrajskiego, używane w liturgji i pewne czynności liturgiczne, zresztą niezrozumiałe. Wszystko to, czego nie rozumiemy, pobudza uczuciową stronę modlitwy. Dlatego zdaniem autora bynajmniej nie trzeba żądać znajomości języka liturgicznego, czy tekstów liturgicznych.

w szerszych kołach. Ś. Hieronim opisuje, jak przy pogrzebie ś. Pawła Pustelnika Kościół rozbrzmiewał psalmami w języku hebrajskim, greckim, łacińskim i syryjskim. Może więcej jak jednego z tych języków śpiewający nie znali, a jednak modlitwa ich była pełnowartościowa, gdyż łączyło ich wspólne uczucie i wspólna wiara. Zarówno modlitwa brewjarzowa, jak mszalna może na wiernych działać pobudzająco w kierunku modlitwy myślnej, chociażby tylko w sposób bardzo mglisty znali prawdziwe znaczenie słów. Modlitwa nie ma być tkaniną wystudjowanych medytacyj, albo pięknych myśli na dany temat, lecz pełnem uszanowania wejrzeniem, przypominaniem sobie śmierci Chrystusowej i wznowieniem jej na ołtarzu, związkiem serdecznym z tą boską ofiarą, bez osobliwego zagłębiania się w tak wielkie tajemnice. Chodzi głównie o uczucia wiary i miłości zrodzone w głębi serca. W czasie Mszy św. całe audytorjum zebrane w kościele, samą obecnością, wiarą i zjednoczeniem woli staje się jednym kapłanem i jedną ofiarą. Ta harmonja serc, to zestrzelenie myśli w jedno, to solidaryzowanie się z akcją, odbywającą się na ołtarzu jest modlitwą czystą i nawskroś świętą, nie wymagającą wysiłku duchowego. Modlitewny nastrój, ta postawa czeladzi Bożej staje się czemś ponad narodowem, Duch św. wtedy władnie duszami i pomaga wznieść się ponad drobiazgi językowe wyrazu w tem czy owem narzeczu Upodabniamy się wówczas do obywateli nieba, gdzie także przestają istnieć różnice języka narodowego a jednogłośna chwała rozbrzmiewa ku Bogu. W przeróżnych objawach religijności, podobnie jak w samej dogmatyce, trzeba zgodzić się na światło i ciemności. Akt myślenia w modlitwie zdaniem autora nie jest jeszcze modlitwą. Mądrość Boża uwydatniła się w podziale równomiernym rzeczy dostępnych i niedostępnych, które jednak dzięki powadze wielkiej, która się z niemi zrosła, wszędzie wzbudzają wielkie uszanowanie, uległość bezwzględną niezależną od zrozumienia; bo przecie nie tylko to, co rozumiemy, jest godne hołdu, ale może owszem tem godniejsze kornej uległości, im trudniejsze jest dociągnięcie doń naszych władz umysłowych.

Dokładne pójście za myślą psalmisty nieraz jest zgoła niewskazane, skoro myśli w psalmach zawarte niezgodne są często z duchem Ewangelji, gdyż człowiek starozakonny był

cielesny, o całe niebo niżej nastawiony od ducha Ewangelji Chrystusowej. Odmówienie psalmów ma być tylko podnietą do wzbudzenia świętych pragnień i uczuć chociażby wręcz różnych od treści psalmu.

Zwalczając mechanizację modlitw, lub czynności liturgicznych, niektórzy autorzy żądają wytężonej pracy intelektualnej w modlitwie. Thomassin tego zdania nie podziela. Uważa, że między jednem a drugiem jest coś bardzo godnego polecenia. Recytacji tekstów modlitewnych przypisuje on pewną siłę sakramentalną ex opere operato, coś co zdaleka przypomina zaklęcia, sugestję albo czary oczywiście w znaczeniu dozwolonem. Autor nie ogranicza tego wpływu do tekstów poetyckich, które łatwiej wprawiają ducha ludzkiego w pewien taniec uczuć i nastrojów, lecz obejmuje pod tym względem wszystkie teksty święte.

Stąd związek tajemniczy między muzyką a modlitwą. Pokrewieństwu temu poświęca Thomassin przepiękny rozdział. Zadaniem muzyki kościelnej według niego jest rozlanie świętej radości w duszy, wprowadzenie w zachwyt wszystkich namiętności, danie jej odczuć przyjemności świętych i niewinnych. Zawsze wraca Thomassin do swej „przyjemności". Chodzi w istocie o czynność o wiele intymniejszą, o wiele mniej zmysłową. Najgrubiej ciosani ludzie korzystają z tych przymiotów muzyki, bo nawet nie rozumiejąc sensu w śpiewie uświęcają swój język, uszy, wolę i serce, których intencja i miłość, wiara i pragnienie tworzą pewnego rodzaju uwagę, inteligencję i modlitwę myślną. „Wierzchołek" duszy skłania się ku wszelkim postaciom harmonji. Bardziej czynny jeszcze, bardziej zdolny do wniknięcia w samą głębię swej jaźni, słowem bardziej pobudzający do modlitwy jest śpiew bez słów. Interwały instrumentów, które niekiedy same grają, mogą za każdym razem odnowić modlitwę myślną, krótką i częstą, ale tym sposobem ciągłą. Podobnie było dawniej z milczeniem, które zachowywali pustelnicy przy końcu każdego psalmu, i którędy wznawiało się śpiew psalmów a raczej zachowało związek z modlitwą czystą.

Przez wynurzenie modlitwy czystej rozumie autor raczej stan, czy nastrój modlitewny, aniżeli wznowienie jakiejś krótszej modlitwy. Jest to dyspozycja duchowa, rodząca i wiążąca poszczególne akty modlitewne, innemi słowy, jest to ja-

kieś świadome przyczepienie się do łaski uświęcającej. Oto ta modlitwa ustawiczna, której żąda od nas ś. Paweł, a nie można jej sobie inaczej wyobrazić, jak w postaci modlitwy raczej myślnej aniżeli słownej. Istotnie, słów „sine intermissione — bez ustanku" nie można rozumieć o słowach, ani o aktualnych i z natury rzeczy dorywczych czynnościach ducha. Nawet, modląc się ustnie, nie można tego dość często powtarzać, nie tyle modlimy się usty i myślą, ile wolą i sercem, władzami głębszemi, które, bliższe „wierzchołka" duszy, uczestniczą w nieruchomej czynności tegoż. Stąd też u ludzi prostych trzeba wiedzieć, czem się zadowolić w dziedzinie wiary. Lud wierzy nie tylko, gdy wyrazi swoją zgodę na zapytanie, ale już poprzednio, gdyż zawsze był przekonany o depozycie wiary. W tym kierunku należy więc skierować pracę apostolską wśród ludu, aby podtrzymywać wierzenie sercem raczej aniżeli rozumem. Bo wtedy wiara przechodzi w ustawiczną modlitwę, żywe i skuteczne przywiązanie, ciągle skuteczne, bo zawsze skłania serce, nawet wtedy, gdy nie widać objawów zewnętrznych. Wystarczy bardzo kochać, żeby wszystko zrozumieć w sposób o wiele doskonalszy i świętszy niż rozumem. Uczucia wrażone w sercu, te uprzedzenia duszy wierzącej i miłującej nadają wszystkiemu, co się robi, naturalną i stałą wzniosłość, mogącą uchodzić za modlitwę myślną. Stan łaski Bożej i stan modlitewny to w gruncie rzeczy jedna rzecz. Tak samo, jak można wyobrazić sobie umysłową modlitwę bez żadnego udziału serca, tak też może być dobra modlitwa serdeczna bez udziału umysłu. Dobry ojciec nie myśli stale o swoich dzieciach, ale jednak nie przestaje ich kochać i w razie potrzeby gotów jest za nie cierpieć ciężko i krwawo. Takiej miłości żąda od nas Bóg. Do dobrej modlitwy wystarczy dalsza intencja, a nawet nie szkodzą najdziwniejsze roztargnienia, byleby tylko najgłębszy zakątek duszy modlił się.

Czy warto zajmować się poglądami na modlitwę dziś częściowo zmodyfikowanemi. I owszem. Najsamprzód ze stanowiska historycznego, aby poznać zapatrywanie XVIII w., powtóre poznać zdanie jednego z klasyków teologji katolickiej, a wreszcie po to, by się pobudzić do zastanowienia nad wyłożonemi myślami i zająć wobec nich stanowisko, a może na-

wet uczynić rachunek sumienia. Modlitwa jest bowiem naczelnym objawem religji, jest tem dla duszy, co obieg krwi, czy przemiana materji, albo oddech dla ciała. Tak przeto, jak raz poraz pomyślimy o prawowitem działaniu organizmu cielesnego, tak też raz po raz poddać wypada rewizji nasz stosunek do modlitwy, praktykę i pojęcie o niej.

Ks. Dr. Stefan Abt.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Wzrastające niebezpieczeństwo.

Z błyskawiczną, wprost nieprawdopodobną szybkością zbliża się III akt tragedji dziejowej, którą możnaby zatytułować: Likwidacja Traktatu Wersalskiego.

Jeszcze kurtyna nie podniosła się w górę, aby odsłonić przed oczyma Polski i Europy dekoracje przygotowywane skrzętnie i systematycznie na Wilhelmstrasse, a już słyszymy preludjum, illustrujące gniew krwiożerczych bóstw Wallahi. Zanim podniesie się krwawy topór Wotana nad Rzeczpospolitą Polską, aby odrąbać od niej najbardziej polskie, prastare piastowskie prowincje, hypnotyzerzy niemieccy, grający tak biegle od lat kilku na instrumentach kryzysu gospodarczego i pacyfizmu będą usiłowali uśpić sumienie i czujność Europy, przekonać ją, że szykowany zamach jest koniecznością dla narodu niemieckiego i zwykłym wymiarem sprawiedliwości, że Polska nie chcąc się dobrowolnie wyrzec swego terytorjum narodowego i odstąpić je wielkodusznemu i wspaniałemu sąsiadowi, potrzebującemu na gwałt więcej ziemi — popełnia w ten sposób zbrodnię przeciwko pokojowi i idei solidarności wszechludzkiej i stąd jest faktycznie agresorem, choćby nawet wojska niemieckie pierwsze przekroczyły jej terytorjum.

W r. 1932 osiągnęły Niemcy dzięki sprzyjającym dla nich okolicznościom bez żadnego ekwiwalentu — bezcenne, wiekopomne zdobycze: zwolnienie od długów wojennych i przyjęcie zasady równouprawnienia w dziedzinie rozbrojenia, a właściwie — zbrojenia.

A oto już 1 stycznia 1933 r. zagrały megafony i radja międzynarodowe... Jeszcze nie zrealizowane zostały rezultaty

ostatnich konferencyj międzynarodowych, nie wyciągnięto z nich wniosków w obowiązujących postanowieniach prawnych, a już potwór, moloch szowinizmu pruskiego, niczem nie syty, wyrzuca z krwawej, miazmatami pychy i nienawiści ziejącej paszczy coraz to nowe żądania... Po odszkodowaniach wojennych i równości zbrojeń żąda rewizji postanowień terytorjalnych traktatów, wiemy co to znaczy, żąda Pomorza — narazie...

Wszak już Mickiewicz pisał, że „krzyżackiego gada” nie ugłaszczesz, próżno ci i tamci rzucali mu w paszczę złoto i bogate ziemie — on wciąż niesyty, domaga się więcej. Przyjdzie więc taki moment, kiedy trzeba go będzie nakarmić ogniem i żelazem!

* * *

Według przypuszczeń wybitniejszych i zrównoważonych polityków — napadu zbrojnego Niemców na Pomorze nie należy oczekiwać już w chwili obecnej. Przedewszystkiem dlatego, że nie są jeszcze należycie do wojny przygotowani, a następnie, że obawiają się interwencji Francji, która według traktatu zawartego w swoim czasie z Polską, obowiązana byłaby w takim wypadku do zbrojnej interwencji.

Dopiero po pewnym czasie, gdy propaganda niemiecka poczyni dalsze postępy, w razie sprzyjających okoliczności np. zupełnego zerwania sojuszu polsko-francuskiego, lub rewolucji w Polsce — ośmieliliby się Niemcy na zbrojne poparcie swych żądań. Musimy pamiętać, że rozpoczęcie wojny, połączone jest obecnie dla agresora zwłaszcza europejskiego z poważnym ryzykiem. W razie bowiem, gdyby atak jego militarnie się nie udał, potępiony zostanie napewno w sposób dotkliwy przez Ligę Narodów, która wobec pokonanego i bezsilnego chwilowo gwałcenia pokoju — chciałaby niewątpliwie zadokumentować swój „autorytet moralny”. Dlatego też przypuszczać należy, że rząd niemiecki namyśli się kilkakrotnie zanim zdecyduje się na wojnę.

Najbliższy więc sezon będzie raczej pod znakiem propagandy i posunięć dyplomatycznych, zmierzających do postawienia na porządku dziennym negocjacyj dyplomatycznych—sprawy Pomorza.

Jeżeli chodzi o pierwszy warunek t. j. powodzenie propagandy niemieckiej, to on już w znacznej mierze został spełniony.

Jeżeli już speaker radja brytyjskiego ośmiela się w noc noworoczną w czasie transmisji uprawiać jaskrawie nielojalną propagandę antypolską *) — to fakt ten maluje chyba dostatecznie silnie rezultaty prowadzonej od kilku lat, planowej i zręcznej akcji niemieckiej. Ale nietylko w Anglji, Ameryce, Holandji, we Włoszech — nawet w sprzymierzonej z nami Francji pisma radykalno-lewicowe zajmują w sprawie korytarza stanowisko wyraźnie filoniemieckie. Oto cytujemy telegram z № 2 „Kurjera Warszawskiego":

Nowy rok zaczął się pod znakiem kampanji rewizjonistycznej, która do pewnego stopnia poruszyła opinję francuską, ale nie wywołała żadnej reakcji, a raczej spotkała się z aprobatą kół lewicowych.

Szczególną uwagę zwrócić należy na fakt, że żadne pismo francuskie nie wystąpiło dotychczas z protestem przeciwko codziennym urzędowym i coraz gwałtowniejszym enuncjacjom prasy niemieckiej przeciwko granicy zachodnie Polski.

Prasa francuska ogranicza się do dość szczegółowego wyłożenia tezy niemieckiej, powstrzymując się od komentarzy.

Drugi warunek t. j. dozbrojenie Niemiec po zwolnieniu ich z ograniczeń militarnych Traktatu Wersalskiego — może także zostać spełniony w roku najbliższym. Za rok, dwa nastąpi ten moment, kiedy Rzeczypospolita Polska stanie oko w oko z dobrze uzbrojonym przeciwnikiem, który zużył już wszystkie argumenty propagandy i dyplomacji, a jako ultima ratio pozostały mu już tylko armaty. Wszystko, co potem nastąpi będzie zależało od naszej pozycji międzynarodowej i od naszej siły militarnej.

W sprawie tego ostatniego czynnika mamy tylko to do powiedzenia, że w sytuacji, w jakiej znajduje się Polska, jaknajwiększa część budżetu winna być przeznaczona na obronę kraju i to nietylko na wyżywienie i ubranie wojska, lecz przedewszystkiem na przygotowania techniczne, tak niezbędne w wojnie współczesnej. Rząd powinien przeprowadzić heroiczne oszczędności we wszystkich innych dziedzinach, byleby jaknajwięcej pieniędzy zaoszczędzić na armję i na obronę kraju. Powinniśmy się tak przygotować, abyśmy w chwili decydującej mogli liczyć na własne siły.

---

*) W czasie transmisji użył słów: „Obecnie przez t. zw. korytarz polski, który przecina Niemcy na dwie części połączymy sią na Warszawę, stolicę nowego kraju — Polski, która wydaje $^1/_3$ swego budżetu na utrzymanie olbrzymiej armji."

Pozostaje do rozpatrzenia pozycja międzynarodowa Polski. Pozycja ta zależy nietylko od naszej polityki zagranicznej, lecz także od naszej sytuacji i polityki wewnętrznej. W tej kapitalnej dla nas sprawie winniśmy ustalić kilka tez, które są naszem zdaniem bezsporne.

1. Polityka wewnętrzna Polski, która jest niczem innem, jak ostrą i nieprzebierającą w środkach walką, którą obóz sanacyjny narzucił reszcie społeczeństwa — obniża ogromnie nasze znaczenie na terenie międzynarodowym. Musimy pamiętać, że Polska, jako państwo niepodległe powstała 15 lat temu po stukilkudziesięcioletniej niewoli i prestige jej, siła i znaczenie w opinji, szerokich warstw rozmaitych narodów nie są jeszcze ustalone, nie mają, że się tak wyrazimy, patyny dawności i niewzruszalności. Okoliczność tę wyzyskuje propaganda niemiecka, powołując się na błędy polityczne i rozmaite objawy anarchji, bezprawia i nadużyć. Brzmi to może paradoksalnie, ale trzeba sobie powiedzieć, że Polska dzisiaj nie może sobie pozwolić na te perturbacje wewnętrzne, na jakie mogą sobie pozwolić Niemcy, Anglicy, Francuzi i t. d. Opinja bowiem o tych państwach jest już ustalona, podczas kiedy o nas, o naszej zdolności do niepodległego bytu — dopiero się ustala. Mógłby wprawdzie ktoś powiedzieć, że nie mamy potrzeby dbać o opinję międzynarową. Lecz takie powiedzenie, byłoby nierealne i nie liczące się z faktami. Wprawdzie opinja publiczna w Polsce jest jeszcze słaba i niewyrobiona, ale inaczej dzieje się w innych państwach, jak we Francji, Anglji i Ameryce. Tam opinja wpływa bezpośrednio na kierunek rządów, a przecież polityka tych państw nie jest dla nas obojętna.

2. Tymczasem pozwalamy sobie na perturbacje i wyskoki daleko większe i ostrzejsze niż np. w Niemczech, gdzieś wprawdzie konflikty polityczne ujawniają się w sposób bardziej krwawy (jest to już własność narodu niemieckiego), lecz zato bardziej skoordynowany, logiczny, rozsądny, niż u nas. Wszak również w Niemczech rządzi sztab generalny, tylko sztab generalny niemiecki potrafił tak rządzić, że już obecnie, w krótkim czasie od ujawnienia jego hegemonji — coraz szersze warstwy narodu skupiają się koło niego. U nas zaś społeczeństwo coraz bardziej się rozdwaja: na rządzących i rządzonych. I to największa tragedja — z punktu widzenia naszej sytuacji międzynarodowej.

Niestety, w tej dziedzinie nie widać polepszenia. Nowy rok przyniósł nam ustawę o stowarzyszeniach, zapowiedź zniesienia autonomji uniwersyteckiej i wznowienie procesu brzeskiego. Kiedyż to się skończy i w jaki sposób?

3. Niewątpliwie do osłabienia naszego sojuszu z Francją przyczyniły się między innemi także i nasze perturbacje i konflikty wewnętrzne, które oddziałały ujemnie najpierw na wyborcę francuskiego, a następnie na dzisiejsze rządzące sfery francuskie. Sfery te nigdy wprawdzie nie odznaczały się wielkiem zrozumieniem i uznaniem dla sojuszu polsko-francuskiego, tem nie mniej wypadki polskie utwierdziły ich w raz przyjętych założeniach i ośmieliły do pewnych posunięć.

4. Wreszcie należałoby rozpatrzeć naszą taktykę na terenie międzynarodowym, zwłaszcza w stosunku do zachowania się Niemiec. Trudno byłoby sumiennie wszystko rozważyć w jednym artykule. Jeden jednakże pewnik powinien być ustalony. Oto nasza taktyka przemilczania i nie zwracania uwagi na coraz głośniejsze i bezczelniejsze hałasy rewizjonistyczne Niemiec — musi się kiedyś skończyć. Ma rację „Gazeta Warszawska", pisząc w № 4, co następuje:

Nie propaganda naszego punktu widzenia jest rzeczą najważniejszą, nie przekonywanie kogokolwiek, nie patos wzburzonych sumień, lecz fakty i słowa, równające się w swej wyrazistości faktom. Oto dlaczego, gdy czytamy to, co piszą w Niemczech, gdy się zastanawiamy nad reakcją na tę pisaninę w państwach zwycięskich w wojnie ostatniej, to dochodzimy do wniosku, że jedyny styl, jaki dziś odpowiada stanowisku i polityce polskiej, jest styl gen. Cambronnéa, nie ten z „Journal Géneral de France", lecz ten, za którym się oświadczał dziennikarz Genty. Im zaś owo „słowo gen. Cambronne" będzie powiedziane głośniej i brutalniej, w odpowiedzi na propozycje niemieckie i na djalektykę pewnych ludzi w państwach zwycięskich, tem będzie lepiej i skuteczniej...

Nie jesteśmy wielbicielami stylu, którego używano u nas w stosunkach wewnętrznych. Idą jednak takie czasy, że nie zaszkodziłoby, ażeby się na nim nauczyli nieco wzorować dobrze wychowani przedstawiciele z naszej ulicy Wierzbowej. Trzeba bowiem, ażeby wiedziano wszędzie, gdzie należy, że Polacy są zdecydowani nie wchodzić w żadne dyskusje nad pewnemi kwestjami, że—używając stylu poe yckiego- „nie polezie orzeł" polski w... rozmowy o gwarancjach bezpieczeństwa, rozumianego na sposób niemiecki, i o nowem Locarno europejskiem..

Powinniśmy więc zainicjować bardziej twardy i zdecydowany styl na terenie międzynarodowym wobec żądań rewizjonistycznych Niemiec.

Ale nietylko wobec Niemiec. Niemcy zbyt znają Polskę, aby łudzili się, że bez wojny uda im się odzyskać Pomorze. Czekają oni na inny, dogodniejszy jeszcze dla nich moment, aby oficjalnie wystąpić z żądaniem Pomorza. Narazie zaś poruszają sprawę na gruncie nieoficjalnym w pierwszym rzędzie za pośrednictwem swoich przyjaciół i najmitów w Anglji, Ameryce, Włoszech i we Francji. W pierwszych dniach stycznia nastąpiła wprost orgja ataków antypolskich w prasie krajów dawnej koalicji, a przedewszystkiem w Anglji i we Francji. Nie winimy rządu francuskiego, gdyż on w tem oficjalnie nie bierze udziału. Ale angażują się zato sfery lewicowo-masońskie, ten rząd popierające. W Anglji znowu, jak okazało się, zainteresowane po stronie Niemiec w sprawie Pomorza są wpływowe sfery finansowe anglo-żydowskie, zbliżone do osoby dyrektora Banku Angielskiego mr. Montaga Normana.

Jeżeli więc ma się należycie i skutecznie rozpocząć nasza kontrofenzywa dyplomatyczna i propagandowa, to powinna ona również uderzyć w tych wrogów Polski i ajentów Niemiec, którzy prowadzą hałaśliwą i wrogą nam propagandę w krajach dawnej koalicji, a nawet w sprzymierzonej z nami Francji.

Dalsza taktyka wyczekiwania i nieprzyjmowania tych ataków do wiadomości nie prowadzi naszem zdaniem do celu, gdyż mogłaby wywołać wrażenie, że naród i rząd polski lęka się tych hałasów i zachowuje wobec nich bojaźliwe milczenie.

Niech więc przemówi rząd. Niech przemówi również społeczeństwo!

St. K-ski.

Bolszewizm — nowa religja.

Nazwanie bolszewizmu nową religją zakrawa na paradoks. Nie przeczę temu bynajmniej. W pierwszej chwili może tak się zdawać, dokładna jednak analiza faktów, poznanie bliższe tego, co się dzieje w Rosji obecnie, wykazuje zupełnie dostatecznie, że pomimo pierwotnego zetkniecia się termin taki uznać trzeba za najzupełniej słuszny. Całkiem dosłownie jest to i religja, i nowa. Traktując bolszewizm wyłącznie jako koncepcję polityczną, czy też—szerzej biorąc — jako kierunek społeczny, nie obejmuje się całości zjawiska.

Rok ubiegły, w którym nowy ustrój święcił piętnastolecie swego istnienia, zaznaczył się zmianą stosunku do bolszewizmu Robiło to doprawdy wrażenie nieco zastanawiające. Wybitni publicyści, którzy do tej pory akcentowali silnie sezonowość i przejściowość nowego ustroju, pod wpływem wiadomości o gigantycznych wyczynach technicznych, o całym szeregu przegrupowań i posunięć, zarzucili dawne traktowanie wyczynów bolszewickich, nie przestając bynajmniej być pracownikami władców nowej Rosji. O ile stanowisko poprzednie było dowodem pewnego rodzaju lekkomyślności i pójściem po linji najmniejszego oporu, o tyle teraz ci sami ludzie mają twardszy orzech do zgryzienia. Bolszewizm nie upada jak zapowiadano przed dziesięciu laty. Bolszewizm egzystuje, okazuje żywotność. Nonsensem byłoby czekanie na jego samounicestwienie się. Przeciwnicy bolszewizmu nie mogą poprzestać na pięknie brzmiących frazesach publicystycznych, czy rymowanych hasełkach. Muszą zdobywać się nie bez wysiłku na program pozytywny, któryby w przeciwstawieniu go bolszewizmowi wytrzymał próbę życia i okazał się skuteczny. W walce z bolszewizmem ta metoda wydaje mi się najwłaściwszą i przytem najuczciwszą. Nikt nie będzie mógł zarzucić takim przeciwnikom bolszewizmu płytkości i efekciarstwa dziennikarskiego [1].

A więc bolszewizm egzystuje. Owszem, ale to nie jest już to samo, co w pierwszych latach istnienia. Zrodzony w ogniu rewolucji jako bunt przeciwko istniejącemu do tej pory reżymowi carskiemu, był to ruch wyłącznie negatywny, zwalczający to, co istniało, wszystko to, co określono z pogardą jako przesądy burżuazyjne. Zdobywano się na ujęcia wręcz odwrotne od dotychczas obowiązujących, popadano w skrajności. byle stanąć na stanowisku odmiennem. Tak jednak było w pierwszych latach. Wkrótce okazało się, że samem zaprzeczaniem nie zajedzie się daleko. Obok burzenia świata burżuazji przystąpiono do pracy pozytywnej, do stwarzania świata „zwycięskiego" proletarjatu. I to może było najszczęśliwszem posu-

---

[1]) Próby sformułowania doktryny, którąby można przeciwstawić bolszewizmowi, podjął się szereg osób, głównie ze środowiska Politechniki Warszawskiej. Nie zostałem upoważniony przez inicjatorów do publikowanik tez zasadniczych, ograniczam się więc do sygnalizowania prac tego typu, w każdym bądź razie usiłowania to godne uwagi.

nięciem bolszewizmu, traktując to szczęście z bolszewickiego, rzecz naturalna, punktu widzenia. Cały szereg elementów życia społecznego, które jeszcze przed miesiącami, czy w najlepszym wypadku dwoma trzema laty potępiano kategorycznie jako przesądy burżuazyjne i odsądzano od czerwonej czci i wiary, jakiegoś dnia najwyższym rozkazem spoza murów Kremla uznano za prawowierne, kazano je niezwłocznie zpowrotem wprowadzić. Praktyka zycia wykazała, że i „zgniły" Zachód ma przecie w swym dorobku składniki wartościowe, tylko, że przed masami czerwonych zelantów nie mówj się o tem głośno.

Bolszewizm bezpośrednio porewolucyjny i bolszewizm współczesny — powiedzmy ściślej raczej zeszłoroczny — to coś identycznego w zrębach zasadniczych, lecz w szczegółach nie da się znaleść tożsamości. Bo bolszewizm nie jest jeszcze czemś definitywnie skonkretyzowanem, wykończonem do ostateczności. Przed naszemi oczyma zmienia się, przekształca, jest żywym organizmem, którego kształtu ostatecznego nie kusiłbym się określić z dokładnością chociażby przybliżoną nawet. Narazie musimy zadowolnić się tylko stwierdzeniem płynności tego zjawiska i opisywać przemiany. Na traktowanie bolszewizmu statycznie jeszcze grubo zawcześnie.

Trudno stwierdzać zmienność bolszewizmu we wszystkich dziedzinach życia. Przedewszystkiem nie czuję się kompetentnym w tym zakresie; po drugie napisano o tem już masę dzieł głębszych i płytszych, choć coprawda nie po polsku. Ja chciałbym zwrócić uwagę tylko na powstawanie tego, co na wstępie nazwałem nową religią. Tu może przejawia się zmienność owa najjaskrawiej. Pierwotne negatywne stanowisko do religji zachowano do tej pory, zwalcza się religje istniejące obok tego jednak propaguje się religję nową, bo przekonano się, że zwalczanie w masach pojęć religijnych, bez jednoczesnego dawania namiastki ich, do niczego nie doprowadzi.

Na wiosnę 1918 r. stawiano gdzieś nad Wołgą pomnik apostołowi — zdrajcy Judaszowi z Karjotu, który, według słów inauguracyjnego mówcy, „uprzedził światową rewolucje, zdradzając „wodza burżuazji, Jezusa Chrystusa". W parę lat potem w szkołach bolszewickich śpiewała dziatwa pieśń, gdzie zapowiadała:

„Pójdziemy aż do nieba,
by stamtąd wygnać Boga".

Dziś ta dziatwa nie wierzy już w Boga, młodzież nie bije pokłonów przed złociście lśniącemi ikonami. Na miejsce ich dostała nowy przedmiot kultu: zabalsamowanego trupa Lenina, wystawionego na placu Czerwonym w Moskwie do czci publicznej zupełnie tak samo jak niegdyś „świątyje moszczi" w Pieczerskiej Ławrze.

U stóp zębatego muru o brunatno-ceglastym odcieniu, muru, który dźwignęli włoscy architekci jeszcze u schyłku wieku piętnastego, rozpłaszczyło się brunatnemi masami brył ciężkich mauzoleum grobowe Lenina — sanktuarjum dzisiejszej Rosji. Tuż przy siedzibie władz naczelnych, trzęsących mackami kluczów telegraficznych olbrzymiem imperjum, tuż obok najświetniejszych cerkwi, gdzie ogniskowały się ceremonje państwowo-religijne carów-samodzierżców, spoczął łysawy jegomość o wschodnich rysach, przed laty dwudziestu paru poczciwy mieszkaniec Paryża, miłośnik muzyki podśpiewujący sobie na koncertach, z lubością pomagający, czy poprostu wyręczający żonę w zmywaniu statków po jedzeniu, a potem w lat niewiele pogromca mocy carskiej, której nie mogła zgnieść nawet moc Wielkiego Napoleona.

Niesympatycznie przedstawia się to bolszewickie sanktuarjum zzewnątrz. Przynajmniej, sądząc z barwnej reprodukcji obrazu Wiktora Kolendy, wydanej na użytek turystów przez samorządowe władze moskiewskie. Projektodawca tej reprezentacyjnej budowli, architekt Szczusew, nie przedstawił stylu architektonicznego „zwycięskiego" proletarjatu z najlepszej strony.

Do wnętrza mauzoleum niech nas wprowadzą turyści zachodnioeuropejscy, którzy — z mody raczej, niż z pobudek badawczych — bardzo licznie odwiedzali Rosję ostatniemi czasy. Oto np. relacja młodego poety — odbija się to wydatnie na ujmowaniu obserwowanej rzeczywistości — Aleksandra Janta-Połczyńskiego. Rosję zjeździł wzdłuż i wszerz latem, teraz lada dzień ukaże się obszerna książka jego, w której zawrze wrażenia z podróży. Czytajmy:

„Wchodzę do środka. Lśnienia świateł na płytach marmurowych. Po schodach wdół. Żołnierze, którzy trzymają tu straż, odwróceni są twarzą do publiczności. Każdego mierzą badawczem spojrzeniem od stóp do głów. Trzeba było oddać

przed wejściem laski, torby, tobołki, co kto tam niósł, czy miał. Z pustemi rękami puszczają. Każdemu patrzą w oczy.

A potem otwiera się nagle wejście: duża sala, półmroczna, ciemno-czerwonym odblaskiem ścian przesycona, pełna stłumionych lśnień w odbiciu marmurowych płyt, a pośrodku, pod szklanem sklepieniem i szklanemi ścianami, od wewnątrz oświetlonej trumny—on. Ta trumna jest jak pryzmat, skupiający cały blask sali, wszystką uwagę przybyszów i wszystkie oczy. Przy sarkofagu znów dwu nieruchomych żołnierzy, straż.

Lenin: ruda bródka, rude (czy nie siwiejące?) krótkie włosy po bokach łysej, wypukłej głowy, skóra matowa, obciągnięta gładko. Szary mundur, jedna ręka zaciśnięta i złożona na nim, druga rzucona wzdłuż ciała. Na mundurze kilka odznak, jakieś ordery, znak partji.

Jest doskonale zrobiony—tak mało woskowy, tak bardzo trupi. O tem, że się psuł, czytaliśmy nieraz. Tu nikt tego nie słyszał. Preparowali go przecież pierwszorzędni specjaliści. Niechby spróbowali popsuć, niechby się miała nie udać ta robota. I dziś nad mumją czuwają fachowcy. Odpowiednio regulują temperaturę, dbają o wszystkie warunki, aby się tylko największa relikwja Rosji sowieckiej konserwowała długo i doskonale.

Przypomina się szary fronton instytutu Leninowskiego, zbudowany ua ulicy Twierskiej. W kasach pancernych przechowują tam jego rękopisy, lata całe preparują jego mózg studjują wszystkie szczegóły jego życia, pracują nad nim, tworzą poza nim drugą postać, Lenina giganta, Lenina nadludzkiego, Lenina bogoburcę.

A tutaj nagle on sam, bez pozy i bez patosu, w zwyczajnym mundurze, rozpostarty na czerwonem posłaniu.

Nie wolno się zatrzymywać. Posuwać trzeba się ciągle. Czasu jest dosyć. Okrąża się cały sarkofag. Panuje tu atmosfera chłodnego kościoła, półmroczna, marmurowa, dostojna. Jest coś fanatycznego w spojrzeniach ludzi przykutych do tej twarzy pod szkłem. Jest coś, co od niej poprzez te spojrzenia bije...

Wychodzą z odkrytemi głowami, przejęci, w skupieniu, w powadze. Wrócą potem do siebie, rozjadą się po całym kraju i będą opowiadać i szerzyć wieść o nim i mnożyć wia-

rę i patrzeć inaczej odtąd na każde słowo, podpisane tem imieniem, którem, jak wiadomo, podpisuje się dziś w Rosji wszystko".

Tak opisał mauzoleum Leninowskie poeta młody. Na innego poetę, ale już starszego i przedewszystkiem ironistę — mam tu na myśli Antoniego Słonimskiego — zwiedzanie inne wywarło wrażenie:

„Czyż to nie jakiś nowy fetyszyzm? Mumja Lenina robi wrażenie raczej przykre. Woskowa maska pod szkłem ma w sobie coś z panopticum, czy też gablotek medycznych. Umarli w Rosji, choćby najlepiej zabalsamowani, podobni są do trupów burżuazyjnych".

Sanktuarjum Lenina na placu Czerwonym jest jakgdyby syntezą tego, co robi się w Rosji w zakresie stwarzania nowej religji. Po zapędach burzycielskich okresu porewolucyjnego przejęto formy z religij zwalczanych, napełniono je jedynie nową treścią. Zrzucono z ołtarzy relikwję świętych prawosławnych, mnichów ascezą wsławionych, męczenników do krwi zasiekanych; odarto je ze sztucznego kwiecia, ze złota i kamieni drogich. Wśród naigrawań i szyderstwa zniszczono resztki ludzkich szkieletów, czczonych nabożnie. Co ocalało, rzucono z pogardą do szklanych gablot w muzeach antyreligijnych, opatrzono etykietką i odpowiednim napisem propagandowym, przekonywującym zwiedzającego, że te butwiejące kości są takie same jak kości zwykłego śmiertelnika. Na miejsce spostponowanych relikwij prawosławia bolszewicy wystawiają nowe fetysze do czci publicznej, robią to wszakże z zastosowaniem najnowszych zdobyczy naukowych, ze znajomością efektów propagandowych. Niema dziś w Rosji miejsc pielgrzymkowych prawosławnych, ale te ciemne masy chłopskie gdzieś z zapadłych kątów ciągną do Moskwy z taką samą żarliwością, jak niegdyś do „światych moszczow" w Pieczerskiej Ławrze, czy gdzieś indziej.

Przed mauzoleum z prostym napisem: „Lenin" przeciągają dziennie tysiące ludzi ze wszystkich stron Rosji. Są Mongołowie skośnoocy z serca stepów azjatyckich, Gruzini w papachach włochatych w strojach z rzędami rulonów naszytych na obu piersiach, są Kozacy naddońscy, chłopi ukraińscy. Nastrój panujący udziela się im, jest to coś identycznego

z atmosferą nabożeństwa, nie dziw więc, że niejeden prostak poczciwy, nie znając znaków nabożnych nowej religji, przyklęka przed Leninowskim sarkofagem i — jak to widział Słonimski — żegna się ze czcią,

Niewiele lat upłynęło od śmierci Lenina, a już kroi się z niego postać świętego rewolucji, świetlany wzór dla młodzieży. Zdziwiłby się wódz rewolucji bolszewickiej, gdyby wstał dziś żywy spod szklannego wieka i przejechał po swej Rosji. Inna ona teraz, niż za jego czasów. Tem niemniej dzisiejsi wodzowie bolszewizmu wyczuli, że trzeba dać masom fetysza do kultu wzamian za wydartą wiarę. Trocki — żywy poszedł precz, by nie stawał na przeszkodzie; Lenina — zmarłego nakazuje się czcić. Wyrzucono ikony święte, na ich miejsce kolportuje się w miljonach egzemplarzy portrety Lenina i innych przywódców. W szkołach nakazano pourządzać „kąciki Leninowskie". Tam gdzie dawniej widniały podobizny Madonny z surową bizantyjską twarzą, tam teraz młodzież szkolna wieńczy i przyozdabia twarz tego, którego widziała, być może, w moskiewskiem sanktuarjum. Czytanki szkolne roją się od legend dydaktycznych o wielkim ojcu rewolucji, a najsilniejszym argumentem przy forsowaniu jakichś obowiązków jest powiedzenie, że tak postąpił Lenin. Zasadniczo każdy obywatel Z. S. S. R. ma prawo do wolnego dnia co piąty dzień, wówczas jednak, gdy dobro społeczeństwa wymaga spełnienia jakiejś pracy w tym dniu, musi tego dokonać koniecznie, bo nawet Lenin raz kiedyś niósł w piątym dniu swoim przez plac Czerwony belkę na własnych barkach, by dać przykład innym.

Księgi święte i liturgiczne wszystkich religij zostały zniszczone. Wycofawszy je z bibljotek publicznych, odebrawszy właścicielom prywatnym przy pomocy organizacyj dzieci i młodzieży, przerobiono je w potężnych kotłach papierni na wielokilometrowe bele papieru, by na nim drukować w miljonach egzemplarzy nowe Ewangelje, nowe Talmudy, nowe Korany. Państwo, które ma w swem ręku kontrolę nad wszystkiemi drukarniami, nie pozwala drukować nic na użytek którejś z religij dotychczasowych. (Wyjątkowo pozwolenie na druk paru tysięcy biblij dostało Brytyjskie Towarzystwo Biblijne, co podyktowane zostało podobno względami politycznemi).

Zato pisma teoretyków bolszewizmu bije się w setkach tysięcy egzemplarzy, bo mają one spełniać role nowych ksiąg świętych. Bez przesady! Czem dla chrześcijanina są wersety ewangeliczne, czy dla muzułmanina sutry koranowe, tem dla prawowiernego komunara cytaty z Lenina, Kalinina, czy ich następców. Ich zdania, a nawet pojedyńcze słowa, znajdują się na czele artykułów dziennikarskich, one służą do podkreślenia konkluzji, one wreszcie pomagają dobić przeciwnika polemicznego doborem lepszego cytatu. Nie są same jak w kontekście. Po każdem z nich figuruje szereg cyfr, dla laika niemych i niewymownych, dla uczonego w czerwonem piśmie wskazujących tom, stronę, wiersz. Zupełnie tak samo jak na zachodzie Europy traktuje się Ewangelję czy Biblję.

By zatrzeć ślady chrześcijaństwa, wyplenia się w miarę możności imiona chrześcijańskie, zastępując je imionami rewolucyjnemi. Oczywiście, czerwoni święci znowu wysuwają się na plan pierwszy. Hasa dziś po Rosji w bawełnianych pończoszynach i w lichych standartowych ubraniach niemało kilkuletnich Leninów. Obok nich biegają ich rowieśnice o dźwięcznem imieniu Ninel (odwrotność Lenina). Są też i Władleny (pierwsze sylaby Władimira Lenina), nieliczące najrozmaitszych Terorów, Terk itd.

Wygnano z Rosji Boga transcendentnego. Czcić nakazano ludzi i wyniesiono do godności metafizycznej formuły socjologiczne, czy zestawienia cyfrowe. W pierwszych przemówieniach rewolucyjnych Trocki zapowiadał stworzenie na ziemi kwitnącego ogrodu, raju dla wszystkich. Taki przeciętny, banalny frazes wiecowy. Napozór. W istocie sprowadzenie wszystkiego do jedności materjalnej, do istniejącego, otaczającego nas świata zjawisk. Dla chrześcijanina celem życia jest zdobywanie zasług dla przyszłej nagrody w świecie innym, wyższym, istniejącym poza czasem i przestrzenią, poza tem, co oglądamy, słyszymy, dotykamy, wykrywamy przy pomocy przyrządów naukowych; dla oddanego wyznawcy doktryn bolszewickich nic poza doczesnością i materją nie egzystuje, a celem jego życia — to walka, by zdobyć maksimum tego, co przyczyni się do nasycenia jego potrzeb materjalnych. W kontakcie z realnemi warunkami życia doktryna zawodzi, więc też zapowiadane szczęście doczesne odkłada się na potem, sycąc

oczy współczesnych zapaleńców barwnemi grafikonami i diagramami tego, co będzie zrobione. Nadzieję szczęścia niebiańskiego, raju pozaziemskiego zastępuje się nadzieją, że za lat kilka czy kilkanaście, tu czy tam powstanie kolosalna fabryka np... popielniczek, która dziennie potrafi ich wyprodukować tyle to a tyle tysięcy, dla tylu to a tylu osób. Rosja współczesna żyje pod znakiem mistyki cyfry. Cyfra staje się przedmiotem najszczerszej ekstazy, cyfra jak tajemnica najświętsza krąży podawana z ust do ust dalekiemi wertepami równinnych stepów i pól.

Cyfra — element wiedzy ścisłej jest tylko drobnym fragmentem tego kultu, który się krzewi w Rosji dla nauki. Nauka nabrała tam pewnych cech religijnych i traktuje się ją jako przeciwstawienie religjom dotychczasowym. Radjo bolszewickie nie nadaje kazań religijnych, zato aż do znudzenia uczy i uczy. Po wsiach od świata szerokiego oddalonych zamyka się cerkwie, a wzamian za to stwarza dla dzieci—szkoły, dla starszych — kluby.

Urzędowa agencja fotograficzna „Russ-Photo" rozesłała do prasy zagranicznej fotografje, przedstawiająca płaskorzeźbę Chrystusa w cierniowej koronie z utrąconym nosem i brodą, uszkodzoną tak, rzecz prosta, celowo.(!) Na odwrotnej stronie dla wiadomości pism zagranicznych napis bez związku z tem, co przedstawia fotografja: „Chcemy domów wiedzy, nie domów modlitwy. W Moskwie zburzono klasztor Simanowskij, by na jego miejscu wznieść szkołę". Przykład dostatecznie wymowny.

O ile dawnej świątyni nie zamieniono na szkołę, klub, kino, czy salę sportową, spożytkowuje się ją we wszelki możliwy sposób, byle odebrać budowli charakter kulturalny.

Artur Rundt, dziennikarz austrjacki, w książce pełnej bardzo charakterystycznych spostrzeżeń opowiada, że we wschodniej Syberji widział małą cerkiew wiejską, której wieże przerobiono na mównice, we wnętrzu natomiast założono wspólną kuchnię dla członków miejscowej komuny. „Chłopki — informuje od siebie Rundt, bez żadnych jednak dowodów poważniejszych—które odczuwały lekkie wyrzuty sumienia spowodu wyrzeczenia się starej wiary, pocieszyły się wielką

kuchnią w oskalpowanej cerkwi, która uwolniła je od trudów gotowania".

Wśród prasowego materjału fotograficznego „Russ-Photo" znalazło się także raz zdjęcie, którego treść streszcza najdrobiazgowiej napis drugostronny: „Świątynia zamieniona na spichrz. Wieśniacy ze wsi Petrowski, gm. Kozłow, powzięli uchwałę dostawienia zboża dla państwa bez zwłoki i opóźnienia. Czerwone podwody, wypełnione zbożem i przyozdobione czerwonemi sztandarami, skierowały się do punktów dostaw. Wkrótce wszystkie składy zostały wypełnione po brzegi. Wówczas wieśniacy zdecydowali się zamienić na śpichrz świątynię miejscową".

Przez oddanie świątyń różnych wyznań na cele utylitarne i do użytkowania ich codziennie bolszewicy tem silniej stwierdzają całkowicie materjalne nastawienie swej doktryny, przyczem takie postawienie sprawy jest dla analfabetów z obszaru olbrzymiego imperjum najbardziej wymowne. Najpłomienniejsze i najmądrzejsze przemówienia byłyby tu najzupełniej bezsilne. Misjonarze chrześcijańscy, idąc między pogan, starają się na miejscu świątyń pogańskich ustawiać ołtarze ku czci Boga, bolszewicy postępują analogicznie w stosunku do chrześcijaństwa.

Czerwony sztandar jest w nowej religji tem, czem dla chrześcijan krzyż. Na czerwony sztandar składa się ślubowanie, czerwony sztandar obnosi się ze czcią w pochodach, przypisuje mu się jakieś mistyczne znaczenie, pozbawione jakiegokolwiek uzasadnienia. I to nietylko komunarzy z Rosji. To samo daje się obserwować wśród ich wyznawców płomiennych również w Polsce, czy zagranicą, gdzie z akrobacją niepowszednią zawiesza się czerwone sztandary na wieżach, tak że z trudem je potem zdejmuje straż ogniowa.

Zdarzyło mi się niedawno rozmawiać z pewnym komunistą — wybitny to poeta, z którym spotykamy się nieraz w jednem ze stowarzyszeń literackich — rozmawiać właśnie na ten temat.

— Nie wyobrażam sobie — tu nazwisko jednego gościa, który jest w stadjum zmiany swego światopoglądu, przeflancowuje się mianowicie na glebę marksistyczną — jakby on wyglądał przy pracy rewolucyjnej. On — rozlepiający afisze

komunistyczne, on — zawieszający na drutach tramwajowych czerwony sztandar!...

— Afisze — to jeszcze rozumiem — wtrącam od siebie — oczywiście propaganda, ale czerwony sztandar... Co to wogóle pomoże komunistom, gdyby nawet udało im się wciągnąć go na wieżę ratusza warszawskiego?

Nie otrzymałem logicznej odpowiedzi na to zapytanie. Wogóle trudno dogadać się z tymi młodymi komunistami. Zapaleni, nastawieni agresywnie, przejęci duchem propagandowym, nie omijają najmniejszej okazji, by nie nawracać przygodnego rozmówcę na komunizm. Jest w nich coś z fanatyków sekciarskich, a zawieszanie czerwonego sztandaru we wszelkich możliwych miejscach jest dla nich taką samą potrzebą wewnętrzną jak — proszę się tem nie oburzać, bo to jednak jest podobne — dla człowieka pobożnego wystawienie krzyża przydrożnego, czy zawieszenie kapliczki na drzewie. Działa tu moment wybitnie religijny, potrzeba ukazania innym tego, co jest symbolem wiary najgłębszej.

Bolszewicy chętnie posiłkują się apoteozą czerwonego sztandaru. Zwłaszcza w teatrze. Popularne sztuki religijne, grywane u nas przez zespoły amatorskie, posiadają nieraz zakończenie tego typu, że po skończonej akcji właściwej na scenie zjawiają się aniołowie i śpiewają pieśń, która wznioślejszym czyni nastrój przedstawienia. Bolszewicy — naturalnie, na swój sposób — mają coś analogicznego. Nie zna się u nas teatru rosyjskiego tak dokładnie jak chociażby teatr niemiecki, ale próbkę apoteozy czerwonego sztandaru mieliśmy sposobność oglądać nawet w Warszawie. Była to końcowa scena reportażu historycznego Aleksego Tołstoja i Pawła Szczegolewa o Rasputinie, granego w teatrze Artystów. Całość widowiska zmontowana została po mistrzowsku, każda scena miała doskonale pomyślaną pointę, tymczasem po zamordowaniu Rasputina dodano jeszcze scenę, która z punktu widzenia konstrukcji dramatycznej stanowi zupełnie dowolną przybudówkę. Nie mówi się w tej scenie bodaj nic o Rasputinie, chodzi tylko o to, by przeciętnemu widzowi pokazać tryumf symbolu rewolucyjnego: do pałacu przed skonsternowaną carycę wdzierają się rewolucjoniści z czerwonym sztandarem i przy czerwonem oświetleniu przy dźwiękach „Mię-

dzynarodówki" zasłona powoli opada. W Rosji scena ta jest najzupełniej zrozumiała. Chodzi poprostu o krzepienie ducha niedokarmionego, nieubranego proletarjusza, któremu dostatek obiecuje się za lat kilka już. Tam jest to uzasadnione. W teatrze związkowym artystów polskich robiło to wrażenie dość idjotyczne. Artystycznie psuło całość, a trudno podejrzewać ZASP. o jakąś celową myśl nawracania widzów na nową wiarę, tembardziej że reportaż tłumaczył Zdzisław Kleszczyński.

W Rosji widowiska takie — to chleb powszedni widza teatralnego. Gra się je w dni przeciętne, gra i w galówki sowieckie. Bo trzeba pamiętać, bolszewizm stworzył nowe święta. Boże Narodzenie, czy Wielkanoc zaznacza się wzmożoną propagandą antyreligijną, z paradą zato i ceremonjami skomplikowanemi świętuje się rok rocznie dzień śmierci Lenina (12 marca), upadek caratu (18 marca), komuny paryskiej (1 maja) i wielu innych improwizowanych nieraz świąt, oznaczanych nierzadko na dni dawnych świąt prawosławnych.

Tydzień siedmiodniowy jako oparty o tradycję biblijną nie ma już w Rosji zastosowania. Zastąpiła go t. zw. „piatidniowka". Każdy odpoczywa co piąty dzień, lecz niewszyscy razem. Praca trwa w przedsiębiorstwach nieprzerwanie, pracuje jednak cztery piąte personelu, piąta zaś część odpoczywa. W ten sposób pracownik posiada zwolnienie od pracy w pewne stałe dni miesiąca, które nie ulegają zmianie. Po dawnemu świętują w Rosji niedziele jedynie... poselstwa zagraniczne.

Trudno zagłębiać się w subtelności doktrynalne bolszewizmu. Napewno nie zostały jeszcze skonkretyzowane. Niewiadomo, co na podstawie pism Lenina wysnują jego egzegeci, podkreślić pomimo to trzeba pewnego typu mesjanizm czy misjonizm bolszewicki. Czasby skończyć z traktowaniem bolszewizmu, jako ruchu kosmopolitycznego. W bolszewizmie nacjonalizm rosyjski zyskał potężne ramię ekspansji i twierdzenie, jakoby bolszewizm stał na gruncie samostanowienia narodów, jest grubą przesadą. Bolszewizm dokonuje tego, czemu nie podołał carat: rusyfikuje olbrzymie połacie wschodnie imperjum rosyjskiego i kładzie podwaliny pod narodową konsolidację Rosji; bolszewizm propagandą komunistyczną za-

granicą robi Rosji opinję nowej Ziemi Obiecanej i wynosi ją do godności ideału. Jest teraz w nowem państwie bolszewickiem niezupełnie tak, jak zapowiadano, ale żarliwi zwolennicy bolszewizmu i na to mają usprawiedliwienie. Rundt wypytywał o to swego kolegę z czasów uniwersyteckich, dziś wybitnego komunara. Narazie nie mógł wydobyć żadnej szczerszej odpowiedzi, to jednak, co usłyszał, ostatecznie było dla Rundta—i dla nas również—niespodzianką kompletną:

— Tak... Rosja cierpi, Rosja bardzo cierpi. Lecz cierpi za inne narody, za cały świat. Rosja jest obecnie... Rosja jest obecnie jakby Zbawicielem narodów.

Zastanawiające! Kiedy czyta się artykuły w emigracyjnej prasie rosyjskiej, natrafia się ciągle na pogawędki o trzecim dniu, o misji wyznaczonej Rosji przez Boga, o zbawieniu które przyniesie światu przez cierpienie oczyszczające. U bolszewików mamy tę samą koncepcję, choć pozornie takie to odmienne.

Fakty mówią najdobitniej. Bolszewizm nie jest wyłącznie kierunkiem polityczno-społecznym. Za dużo w nim elementów tego, co badania naukowe katalogują jako religję. To naprawdę nowa religja, nieustalona ostatecznie, ale już powstająca. Religja z nowemi bóstwami, z nowym rytuałem i kultem. Nie pomogą bolszewickie odżegnywania się i zaprzeczenia najkrzykliwsze. Bolszewizm jest nową, choć potworną, wynaturzoną, — religją. Fakty mówią najdobitniej.

Jesteśmy świadkami daleko idących przemian w Rosji Chrześcijaństwo nigdy bodaj nie napotkało w dziejach na wroga tak gwałtownego i tak przemyślnego, który stara się je niszczyć planowo i planowo zastępować czemś odmiennem, lecz pozytywnem. Wroga, który istniejące w człowieku potrzeby religijne zaspakaja tak, by odnieść dla siebie korzyść. Prawda, że starsze pokolenie nie daje się łatwo zaciągnąć w szeregi wyznawców nowej religji, nie na niem jednak budują bolszewicy swą przyszłość. Nadzieje bolszewizmu opierają się na pokoleniu młodem, które może nawet o Bogu nie wie. Pisze się ciągle o tem, że są jeszcze w Rosji ludzie na bożni, męczennicy. No tak, owszem, ale jeśli się weźmie te olbrzymie kadry bezbożników, to stwierdzić trzeba gigantyczność dokonanego dzieła. Dokonać tego w tak niewiele lat!

Wśród mas krąży jeszcze słowo Bóg (Boh), lecz nie oznacza już tej Mocy Najwyższej poza światem: boh—to synonim poprostu... rubla.

Alfons Huxley, powieściopisarz angielski, autor rozgłośnego na całym świecie „Kontrapunktu", materjalista jak bolszewicy, w usta jednego ze swych bohaterów wkłada takie słowa o religji:

„Ona jest barbarzyńcą duszy. Jedynie dusza i przyszłość. Niema teraźniejszości ani przeszłości, niema ciała ani umysłu. Tylko dusza i przyszłość, a w międzyczasie rezygnacja. Czy może być coś równie barbarzyńskiego"?

Cóżby powiedzieć należało o tej nowej religji, religji materjalistycznej, która nie uznaje ani duszy ani przyszłości, ale wzamian zato wymaga rezygnacji o setki procent więcej aniżeli te religje, o których tak ironicznie wyraża się Huxley?

Józef Marjan Chudek.

Na marginesie sportu.*)

W spółczesnem życiu doniosłą rolę odgrywa sport, ze względu na to jego wielkie znaczenie zasługuje na baczną uwagę. Samo zagadnienie nie jest tak proste, jakby się zdawało, trudność tkwi w zachowaniu właściwego umiaru. Już starożytni mawiali: in corpore sano—mens sana—„W zdrowym ciele zdrowy duch". Niestety bardzo często się zdarza, że owego „ducha" braknie, a wówczas sport zamiast pożytku przynosi szkodę.

Począwszy od średniowiecza wychowaniem fizycznem nie zajmowano się wcale, przynajmniej w taki sposób jak my to rozumiemy: nie uprawiano systematycznych ćwiczeń, nie aranżowano zawodów, nie ustanawiano rekordów. Życie płynęło w bliższym kontakcie z przyrodą, nie było też cherlawych piersi, któreby prężono w myśl szwedzkiej gimnastyki. Jednem słowem nie znano, jakto się teraz modnie określa, sportu dla sportu. Łowy miały dostarczyć skór i żywności, turnieje i t. p. rycerskie ćwiczenia było zaprawą do wojny. Podobne stosunki trwały prawie aż do ostatnich czasów. Sport nowoczesny narodził się bardzo niedawno, przyczyniły się do jego szybkiego rozwoju niehigeniczne warunki miast współczesnych i „business" żądnych złota impresarjów. Niewątpliwie, że wielką rzeczą było

*) Artykuł dyskusyjny.

wyprowadzenie bladych dzieci z cuchnących podwórek na boiska gimnastyczne; podobnie ogromne znaczenie społeczne ma skierowanie uwagi dojrzewającej młodzieży na wyczyny Nurmich, czy Kusocińskich i oderwanie jej od lektury seksualno-kryminalnej. Temu wszystkiemu należy przyklasnąć i poprzeć wysiłki całem sercem. Ale..., ale jest jeszcze i druga strona medalu. Sport uprawia się bardzo często nie dla zdrowia, lecz dla sensacji. Rekord, zdobyć rekord za wszelką cenę, choćby z nadszarpnięciem sił fizycznych! Sport staje się niejednokrotnie zawodem i wówczas traci sens swego istnienia. Zadaniem jego jest dać jednostce zdrowy fundament cielesny, na którem możnaby wznieść gmach duchowy; jest więc tylko środkiem wiodącym do celu. Tymczasem bardzo często staje się ostateczną metą. Wielu poświęca całe swoje życie, aby przelecieć 100 czy 1000 metrów o kilka sekund wcześniej. I cóż z ich wysiłków? Czyć trud przyniesie jakikolwiek pożytek ludzkości? Wszak najprymitywniejszy samochód zrobi „lepszy czas" bez najmniejszego wysiłku zostanie niedoścignionym ideałem dla choćby najwybitniejszego biegacza. Rozumiem poświęcenie wynalazcy otwierającego przed człowiekiem nowe horyzonty i zbliżającego odległe kontynenty, ale nie pojmuję ambicji rekordzisty, poświęcającego wszystko, aby zdobyć sukces, z którego nie będzie żadnego pożytku. Tembardziej, że dziś wypróbowano wytrzymałość fizyczą prawie, że do ostatnich granic i o lepszych wynikach decyduje zazwyczaj przypadek. Ostatnio przeciwko tej rekordomanji wystąpił, gorący entuzjasta sportu (ale w zdrowej postaci), prof. Piasecki z Poznania, który nawiązując do najlepszych wzorów greckich, żąda reformy w tej dziedzinie. Niestety, wątpliwem jest, aby zdrowy rozsądek przeważył nad pogonią wątpliwej wartości sukcesów i faktem, że niektóre „zawody" są wcale dobrym interesem finansowym.

Ostatnio w sukurs rekordomanji przybyła... mocarstwowość. Powstaje sztuczna produkcja „mistrzów". Osobiście sądzę, iż większe znaczenie dla podniesienia potęgi Polski miałoby ogólne podniesienie poziomu fizycznego ludności, niż zdobycie tego czy innego tryumfu na międzynarodowych zawodach. Istnieje zbyt wielka dysproporcja między „asami", a szarą masą obywateli.

Reasumując powyższe wywody sądzę, iż należy stwierdzić: sport pojęty jako podniesienie sprawności fizycznej szerokich

mas jest w dzisiejszych czasach rzeczą niezmiernej wagi. Nie powinien być jednak wykorzystywany w kierunku sensacji, również trzeba w nim widzieć środek, nie cel. Następnie hasłem musi być: Sport dla wszystkich a nie tylko dla „asów"! Uznając w całej pełni jego konieczność i pożyteczność, sądzę, że nie może przed człowiekiem zasłaniać wartości intelektualnych. Niestety, trzeba stwierdzić, iż ostatnio ludzie więcej się interesują rekordami, niż najnowszemi zdobyczami myśli ludzkiej, Miejmy nadzieję, że głębsze wniknięcie szerszych mas społecznych w istotę i zadanie sportu usuną dotyczasowe braki i nadadzą wychowaniu fizycznemu właściwy kierunek.

Józef Lubicz.

Bez dachu i chleba.

„Życie z za ścian".

Życie ludzkie, tak jak i dzieje narodów, czy historja świata, to łańcuch pragmatyczny przyczyn i skutków ujęty w klamry racjonalnej całości. Drobne nawet na pozór fakty, albo wielkie kataklizmy, jednako uwarunkowane są sumą przyczyn mniej lub więcej widocznych. Historjozofja odrzuca śmiało możliwość zaistnienia faktów nieprawdopodobnych, faktów urągających wywymowie cyfr. Wszelkie zaś niespodzianki umotywowanie swoje znaleść mogą jedynie w omylności sądów ludzkich. Podobnie przyczynowe ustosunkowanie zachodzi w tak subtelnych dziedzinach jak sfera uczuć moralności, zmysł obowiązku i tp. — Nieobliczalne szkody społeczne i jeszcze bardziej dotkliwe cierpienia indywidualne ostrym rylcem żłobiące oblicze psychiki współczesnej znajdują swą genezę w przeróżnych często bardzo drobnych albo napozór niezwiązanych niczem ze skutkami faktach.

Jeśli bliżej przyjrzymy się życiu, jeżeli z wyżyn naszego ja zejdziemy w dół, spiętrzy się przed nami golgota dzisiejszej egzystencji. Ból i męka wzrosły, choroby społeczne rozwielmożniły się katastrofalnie.Moraliści współcześni rozdzierają szaty, tworzą komitety do walki z pornografją, handlem kobietami i dziećmi, przeróżne ligi i związki, zresztą bardzo pożyteczne, ale połowicznie tylko zwalczające zło. Przyczyna istotna kryje się w szeregu bolączek i faktów natury raczej materjalnej. I tak na plan pierwszy wy-

suwają się brak pracy i dachu nad głową. W nich kryją się zarazki najrozmaitszych niedomagań, tragicznych powikłań i upadków.

W rozważaniach swoich daleki jestem jednak od balastu roztrząsań teoretycznych, a przekonania swoje montuję empirycznie, na podstawie nagiej rzeczywistości. Rzeczywistość ta jednak nie chodzi po ulicy, lecz kryje się po norach suteren i przewiewnych poddaszach.

Kiedy jestem zmęczony, albo jeśli do serca mego zakołacze zniechęcenie, czy troska, wędruję całkiem do ludzi czynnego miłosierdzia. Siadam cichutko w kątku biura parafjalnego jednej z Sióstr Parafjalnych i słucham, słucham i patrzę.

Drzwi się uchylają, wchodzi kulejąc człowiek w średnim wieku. Ubranie wytarte, twarz wynędzniała. Z oczu patrzy mu tępa rezygnacja. Coś jednak jest w tej postaci, — coś dziwnie ujmującego. Siostra zaprasza, by zajął miejsce. Siada nieśmiało na brzegu krzesła i spogląda w zakłopotaniu. Poczyna z trudem klarować powód przybycia. Wyrazy niezgrabne, rąbane zwolna, poczynają nabierać barwy żywej krwi.

— Dla chleba, Siostro, dla chleba, porzuciłem dom rodzinny — żonę i dziatki. Obiecali pracę nad morzem, za ostatnie grosze dobiłem się do celu. Zajęcie coprawda znalazłem i jakoś zrazu szło, ale nie upłynęło parę miesięcy i choróbsko zwaliło się na mnie. Tłukłem się, aż mnie zmogło i do szpitala odwieźli. Nie było komu do żony napisać, a zresztą co by pomogła, nie wiem czy sama z głodu nie zamarła. A kiedy mnie wreszcie wypisali, to już i miejsca dla mnie nie stało i sił do pracy zbrakło. Co było robić? Ruszyłem do domu po proszonem.

— Jakto tak na piechotę? — wtrąciłem.

— A na piechotę, skąd było wziąć na bilet, a kraść nie chciałem. Zebrałem więc ostatnie graty w węzełek i za tęsknotą moją ruszyłem, hen do dziatek i kobity, choć Bóg raczy wiedzieć, czy żyją jeszcze. I tak dowlokłem się do Poznania, alem sobie nogę o kamienie pokaleczył i już dalej ciągnąć się sił zbrakło, a jeszcze sztuk mam drogi. Więc się tu wedle tego za ludźmi z sercem obzierać począłem i Siostrę o łaskę poratowania prosić przyszedłem.

Papiery miał w porządku, z oczu płynęły łzy długiej męki, niepokoju i tęsknoty. Noga straszliwie była poraniona. Siostra

dała mu na bilet i chleb, a na pożegnanie szepnęła słów parę otuchy i pokrzepienia. Wychodził błogosławiąc dobroć i życie. I żałowałem, że nie mogę tu przywieść wszystkich, wszystkich głuchych na niedolę ludzką, wszystkich skostniałych w egoizmie trosk własnych, by spojrzeli w te oczy, oczy człowieka, któremu okazano serce pełne miłosierdzia. — Tyle w tych oczach było wiary, radości i szczęscia, że nie znalazłby się sceptyk, któremu nie zrobiłoby się jakoś jaśniej na duszy.

Przesunęło się parę najrozmaitszych postaci — ten prosił o napisanie podania, ta o stawienie skargi alimentacyjnej, inna skarżyła się na męża, innemu zachorowało dziecko — zwykły różaniec bolączek ludzkich. Siostra przekonywała, radziła, gromiła, kornet pochylał się i trzepotał, jak motyl skrzydłami, a ludzie przesuwali się, rzucając swe krzywdy i smutki — jak ziarenka w kalejdoskopie bytu.

Poczekalnia opustoszała, do biura weszła trzęsąca się staruszka. Siostra podała jej kartki żywnościowe.

— Jakże ma się pani wnuczka?

Starowina nie dosłyszała.

— Wnuczka, Helunia jak się czuje?

— A dziękuję, pytała dziś, kiedy Siostra przyjdzie?

Wyszła, drzwi się wolno zamknęły i zapanowała przez chwilę zmęczona, dziwnie bolesna cisza.

— Hm — mruknąłem niepewnie. Zwykle w takich momentach rozmawialiśmy monosylabami, ale dziś Siostra Henryka mniej była zmęczona, więc wbrew moim przewidywaniom rozpoczęła opowieść „życia z za ścian”, jak zwykłem jej obrazki nazywać.

Ta ostatnia to babka tej Halusi. Matka tej biednej dzieciny umarła przy jej urodzeniu, a ojciec zginął gdzieś bez wieści. Krewnych nie było a raczej nie przyznawali się do biednych kuzynek, które po wyczerpaniu wszystkich zapasów znalazły się w skrajnej nędzy. Babcia niedołężna, wnuczka kilkoletnia chora na gruźlicę. Znalazłam je przypadkiem, przeprowadzając jakiś wywiad i znalazłam w samą porę, bo już starowina zasłabła z głodu i zimna. Mój Boże i co takie biedactwa komu zawiniły, żeby tak cierpieć, tak cierpieć — Siotra Henryka zamyśliła się, patrząc w okno za którego kratami jaśniały

w powodzi rozszalałej zieleni stożki kwiatów kasztana i chwiały się puszyste okiście tureckiego bzu.

— Świat taki piękny — szepnęła jak do siebie — a przecież pod tą szatą kryje się tyle bólu, zła i męki. Nie wiem dlaczego przypomniała mi się jedna z moich pupilek. Spotkałam ją w listopadowy wietrzny dzień w kościele, klęczała przed obrazem Przenajświętszej Panienki.

— Po twarzy płynęły jej duże, łzy rozpaczy. W tej chwil widzę jej duże bezdennie smutne oczy. Tyle w tym obrazku było piękna, a zarazem cierpienia, że uklękłam z boku i patrzałam na rozmodloną. Po pewnym czasie dziewczyna wstała i niepewnym krokiem ruszyła ku drzwiom. Na ulicy stanęła bezradnie, nie widząc, w którą iść stronę. Podeszłam sądząc, że może zbłądziła. Zwróciła na mnie wielkie, głębokie, wystraszone, jak u spłoszonej sarenki oczy.

— Ja nie mam dokąd iść, ja nie mam domu. — Wzięłam ją do mego biura. Cicho szeptała mi słowa wyznania, rozsuwając przedemną film tragiczny swego krótkiego życia.

Dziewczyna zaledwie 20-letnia z zamożnej rodziny na Pomorzu.

Lata radosne spokojnego życia. Alę przyszły dziwne chwile tęsknoty, rozbudzona przez koleżanki ciekawość i rozmaite kolportowane pod fartuszkiem lektury. Poznała przypadkiem jakiegoś młodzieńca. Był to pierwszy w życiu mężczyzna, tak jej się przynajmniej zdawało, który ją zrozumiał, który ją brał na serjo. I zapaliły się w niej jakieś nieznane dotychczas uczucia, jakieś radosne cierpienie. Wpatrzona weń, jak w marzenie gięła się powolnie w jego rękach... Nie wiedziała, jak się to stało, nie zdawała sobie wprost sprawy z tego... dość, że uwiódł ją. I poczęły nią miotać jakieś niezrozumiałe siły, przychodziły chwile jakieś tępoty, bolesnej rozpaczy z radością na przemian. Poczuła, że będzie matką. A wtedy on począł ją namawiać do zbrodni. Broniła się instynktownie ostatkiem sił. Widząc więc bezskuteczność swych zabiegów, podły ten człowiek wyparł się wszystkiego i odszedł. Rodzina najbliższa o zaskorupiałem i oschłem sercu, niechcąc się hańbą okrywać, bezlitościwie wypędziła ją z domu. Ruszyła więc w świat. W klinice poznańskiej przyszło na świat biedne maleństwo. Wypisana ze szpitala, znalazła się bez dachu i chleba, sama wśród obcych. Maleń-

stwo daremnie ssało pierś wyschłą zgłodu. I w straszliwej męce ostatnie swe chwile Bogu ofiarowała, w świątyni. A stamtąd? Stamtąd postanowiła iść ku brudnym falom Warty. Z trudem udało mi się znaleść dla niej pracę, a dziecinę umieścić u dobrych ludzi. I dziś życie jej inne, lepszy obrót przyjęło i choć dawna wina chodzi jeszcze za nią jako widmo opinji i wyrzut sumienia, to przecież głęboka i jasna miłość macierzyńska, wraz z pracą cichą i uczciwą otoczyły ją pancerzem, ratując od ostatecznego upadku. Skromne na pozór wyciągnięcie ręki z tym okruchem chleba i ten kawałek dachu nad głową stworzyły nową komórkę szczęścia.

Siostra Henryka pochyliła w zamyśleniu głowę. — Tak wielkie bardzo znaczenie mają dobre słowa i serce miłosierne, ale zanim poczniemy rzucać perełki uczuć na ugór dusz ludzkich, trzeba im dać strawę i izbę ciepłą. O! ileżby można uratować istnień ludzkich, ileż osłodzić cierpień i otrzeć łez gdyby nie brakło tego marnego dachu i chleba. Tak, tak głód i włóczęga to źli doradcy.

Wracam powoli do domu. A przecież, przecież — myślę sobie właśnie taki drobny, dla ofiarujących nic nieznaczący datek powołuje do życia nowego, bo odrodzonego człowieka. Ludzie tymczasem tak często skąpią i serca i kieszeni. A kto wie, co każdego z nas czeka.

Brat Cezary.

O piękno życia.

Przeznaczeniem człowieka jest szczęście. Nieodstępnym zaś jego towarzyszem jest piękno. Nie wyobrażam sobie człowieka szczęśliwego, żyjącego w brudnem domostwie, okrytego wstrętnemi łachmanami, splugawionego na ciele i duszy. Taki człowiek szczęśliwym być nie może.—Wprawdzie szczęścia zupełnego na ziemi nie znajdziemy (zresztą byłoby to nawet sprzecznem z zamiarami Opatrzności, która wyznaczyła ziemskiemu życiu rolę tylko krótkiego etapu) to jednak godzi się nam i powinniśmy, w ramach dozwolonych przez etykę chrześcijańską, do osiągnięcia jego dążyć.

Życie. — Jakże odmienne skojarzenia wyobrażeń nasuwa ten wyraz każdemu z nas! „To cudna, tajemnicza bajka“,

powie młody, pełen optymizmu entuzjasta. „To ponura, cierniem usłana droga“, określi je rozgoryczony doznanemi zawodami pesymista.

Komuż więc z nich przyznać mamy rację? Ani jednym, ani drugim, gdyż prawda, jak zwykle bywa w takich wypadkach, leży pośrodku. Bowiem życie nie jest ani bajką, ani też żadną drogą cierniową. Nie ośmielam się twierdzić, że jest ono pozbawionem cierni, nieraz nawet bardzo bolesnych i ostrych, lecz gdyby nie one, z pewnością nie potrafilibyśmy tak żywo odczuwać jego jasnych, promiennych zjawisk, prostym prawem kontrastu; a niejedna piękna strona życia pozostałaby w cieniu. Stąd wniosek taki, że każdy z tych życiowych cierni jest poniekąd „malum necessarium“. Ktoś na to mógłby odpowiedzieć, że istnieją nieraz takie cierpienia, które łamią ciało i ducha, a więc nie można ich zaliczyć do koniecznych. Zgadzam sie z tym, ale pod jednym warunkiem: że patrzeć będziemy na nie pod kątem widzenia ziemskiego, krótkowzrocznego wyrachowania.

Niezbadane są bowiem wyroki Boże—i nieraz to, co wydaje się nam niesłusznem i złem, właśnie okaże się dla nas dobrem, nie w tem, to w przyszłem życiu. Lecz człowiek jest człowiekiem i nieraz buntuje się przeciwko tym wyrokom, które uderzają weń nakształt piorunu. Wije się jak wąż, prawie omdlewa. To też współczuję tym cierpiącym braciom i siostrom z głębi serca i schylam kornie głowę przed majestatem ich bólu, tłumacząc zarazem, że nie o zbagatelizowanie cierpienia mi idzie, lecz o uczynienie zeń szczytnego, wzniosłego piękna. Cierpienie bowiem każde uszlachetnia człowieka, czyni go wyrozumialszym na ludzkie niedole i słabości, zbliża go do Boga. Boleść, jakąby ona nie była, łamie tylko kruche, liche dusze, wartościowe zaś i dzielne wychodzą zeń zahartowane i jasne. Ślicznie wyraził tę prawdę o wpływie cierpienia na serce ludzkie Jan Kasprowicz:

„W rozbolałego serca żywą księgę
Zapisz te słowa takiej oto treści:
Jak ruda w ogniu znajduje pot. ę oczyszczającą —
Tak człowiek w boleści...“

Widzimy więc, że i ta ciemna, jak przyjęto ją nazywać, strona życia może stać się źródłem piękna.

A teraz przejdźmy do rozpatrzenia naszego stosunku do ludzi, ot tak w zwykłem, codziennem życiu. W dobie powojennej, której wiele złego świat zawdzięcza, słyszy się coraz częściej narzekania na zanik wśród ludzi pociągu do życia towarzyskiego, na brak uprzejmości i delikatności wzajemnej, na egoizm.

Niestety, musimy to przyznać przed samymi sobą, że nie jesteśmy ludźmi zbyt sympatycznemi... A jednak—wymagamy tego od innych, wymagamy tego, czego sami nie posiadamy.

Czyż wiąc mamy do tego prawo? Z pewnością nie. Niewolno nam oburzać się na egoizm i grubjaństwo innych, skoro sami jesteśmy niemi przesiąknięci! Niech każdy odważnie zajrzy w swoją bliską nawet przeszłość—a z pewnością znajdzie tam niejeden tego rodzaju grzeszek.

Jakże wielu wśród nas znajduje się takich, którzy wydają się sami sobie alfą i omegą, punktem środkowym osi, dokoła której kręci się i powinno kręcić się wszystko! Pełni tego wygórowanego mniemania o sobie, czujemy się niemile dotknięci, skoro ktoś ośmielił się bagatelizować nasze powiedzenia, czyny, nie obdarza nas należytemi według nas względami, okazuje nam brak uwagi lub szacunku. Nazywamy go wtedy grubjaninem, brutalem, wreszcie egoistą, skoro nic dla nas nie chciał zrobić, przypisujemy i uzurpujemy sobie prawo sędziów w stosunku do naszych bliźnich, podczas... podczas, kiedy nie możemy się zdobyć bodaj na chwilę uprzejmej uwagi, skoro ktoś nam coś opowiada, nie potrafimy przejąć się prawdziwą ludzką nędzą, ochotnie przyjść potrzebującym na pomoc!

Nie potrafimy przejść obok człowieka, gorzej od nas ubranego, bez pełnego dumy i wyższości protekcjonalnie — krytycznego spojrzenia! Czemu? Bo nam wszystko wolno. No jeśli tak — to nie miejmy pretensji do nikogo, jeśli w podobnych sytuacjach będzie tak samo nas traktował. „Grzeczność jest rzeczą małą, a wiele się za nią kupuje", mówi staropolskie przysłowie, a ja dodam od siebie — uprzejmość nietylko zjednywa ludzi, lecz usłonecznia życie. Jakże to miło, mieć do czynienia z uprzejmym człowiekiem! Nie pcha się per fas et nefas zawsze naprzód, dla każdego jest miły i wyrozumiały, swojej osoby nie stawia na pierwszym planie, nie

zanudza nas niesmacznemi przechwałkami o swych czynach i zamiarach, potrafi uszanować każdego. Starajmy się więc być uprzejmi i wyrozumiali dla naszych bliźnich — a i nam będzie z ludźmi dobrze i ludziom z nami będzie miło obcować. Życie towarzyskie stanie się wtedy źródłem piękna i harmonji, a nie szeregiem niesmacznych zgrzytów, jak to miało miejsce dotychczas.

I wreszcie ostatni czynnik piękna, jego nieprzebrana skarbnica — przyroda.

Uczmy się zeń czerpać pełnemi garściami — uczmy się czytać w tej księdze żywej mądrości, otwartej przed nami ręką miłościwego Stwórcy! A skoro posiądziemy tę umiejętność, wzbogacimy nasze dusze szeregiem pięknych, niezamąconych żadnem zgrzytem, wrażeń i przeżyć estetycznych, które, choć będziemy zdala od niej, w murach miasta — pozostaną tym uroczym i miłym zakątkiem, do którego nasza umęczona i zgorzkniała w zapasach życiowych dusza będzie wracać z rozkoszą i odnajdywać swoje dawne „ja".
Ileż smutków i trosk koi ta dobra pani! Przez nią Bóg przemawia do nas — tak prosto serdecznie. Kochajmy więc ją, starajmy się do niej zbliżyć, jeśli nadarzy się ku temu okazja, a niejedną prawdziwie piękną chwilę będziemy wpływowi jej zawdzięczać. Mogłabym wymienić jeszcze cały szereg innych dziedzin, na które zwykle mało zwracamy uwagi, a które obfitują w piękno — lecz przekroczyłoby to już ramy artykułu. Wymieniłam więc tylko te, które, mojem zdaniem, są najprzystępniejsze dla nas, gdyż spotykamy się z nimi co dnia.

Na zakończenie jeszcze jedna, zasadnicza uwaga. Ani piękno natury, ani szczytny majestat cierpienia ani dobroć i uprzejmość ludzka, nie potrafią znaleźć oddźwięku w tym, kto ma duszę brzydką i złą.

Taki bowiem człowiek na wszystko będzie patrzał pod kątem widzenia swych brudnych myśli i intencyj, podobny ślepcowi, patrzącemu na świat przez ciemne karykaturalne szkła.

Pamiętajmy więc o tem i nadewszystko starajmy się, aby dusze nasze stały się przepięknemi — a z pewnością wtedy i życie wyda się nam o wiele piękniejszem, niż wydaje się dziś. Obyż Bóg litościwy łaski tej udzielić nam raczył!

Halina Litwinowówna.

Na froncie walki.

Rozmiary propagandy antypolskiej — Prasa angielska i niemieckie złoto—Brak inicjatywy w naszej polityce zagranicznej—Czy akcja rewizjonistyczna Niemiec jest agresją? — Sytuacja katolicyzmu w Polsce — Stosunek katolików do polityki — Zagadnienie niezależności Kościoła od polityki, a problem solidarności katolików w życiu publicznym.

Antypolska propaganda Niemiec nie schodzi ze szpalt prasy i, zdaje się, jest w chwili obecnej, poza kryzysem gospodarczym i wydarzeniami na Dalekim Wschodzie—najważniejszym bodaj i najaktualniejszym zagadnieniem o charakterze międzynarodowym, a nawet wszechświatowem.

Jakimi metodami prowadzi Rzesza swoją propagandę i jakimi pobudkami kierują się ci, którzy na zachodzie propagandę popierają—przekonać się możemy z sensacyjnych rewelacyj tygodnika francuskiego „Aux Ecoutes", które podajemy w streszczeniu korespondenta „Kurjera Warszawskiego":

„Tygodnik „Aux Ecoutes" zamieszcza fotograficzne dokumenty, listy telegramy, dowodzące niezbicie, że prasa lorda Rothermera: „Daily Mail", „Daily Express" oraz Daily Herald" otrzymała trzysta tysięcy funtów od księżny Hohenlohe na wszczęcie kampanji za rewizją granic pomorskich.

Telegram księcia Lichtensteina do lorda Rothermera precyzuje, że natychmiast po aneksji Pomorza przez Niemcy Rothermee otrzyma jeszcze sześćset tysięcy funtów, razem 90 miljonów franków.

„Aux Ecoutes" dodają, iż zeszłoroczna gwałtowna kampanja „Daily Express" przeciwko Pomorzu była właśnie skutkiem tranzakcji finansowej, zawartej między Niemcami i wymienioną prasą angielską.

W końcu tygodnik „Aux Ecoutes" zapytuje, „ileż miljonów niemieckich dostało się teraz do Francji w celu propagandy rewizji granic polskich"?

Sprawa wymienionej wyżej agentki Niemiec, ks. Hohenlohe-Schillingfürst, głośna była we Francji w końcu lata ubiegłego. Wobec rozgłosu, jaki sprawa ta przybrała, ks. Hohenlohe otrzymała nakaz opuszczenia granic Francji. Aresztowano ją w Nicei i odstawiono na granicę hiszpańską. Obecnie sprawa nabiera nowego rozgłosu."

Uderza nas tutaj przedewszystkiem niesłychany upadek moralny społeczeństwa angielskiego. Nie możemy wprawdzie faktu powyższego uogólniać, ani zamykać oczu na to, że coś podobnego może się dziać i w innych krajach, nie wyłączając

francuskich organów radykalnych, które ostatnio wypowiedziały się w myśl niemieckich żądań rewizjonistycznych. Pomyślmy jednak... Czyż widok takiej lordowskiej mości... i takich organów prasy angielskiej, pełnych frazesów pacyfistycznych o sprawiedliwości i współdziałaniu międzynarodowym, o lojalności i wstrzymywaniu się od wszelkiej agresji, które otrzymują od Niemiec jurgeld za mącenie stosunków międzynarodowych i przygotowywanie nowej wojny—czyż widok takich cynicznych łotrów, takiej bandy międzynarodowych podpalaczy i trucicieli — nie może wstrząsnąć sumieniem cywilizowanego człowieka!

Jeżeli propaganda antypolska mogła się rozwinąć do takich granic, jakie obserwujemy na terenie międzynarodowym, jeżeli oddawna już każdy myślący Polak, przeglądając prasę czuje w sercu skurcz bólu i oburzenia, to niewątpliwie przyczynia się do tego także i taktyka naszych sfer miarodajnych, które zachowują się w sposób nie do uwerzenia spokojny i zimnokrwisty, na bezczelne i niesłychane prowokacje odpowiadają najczęściej milczeniem, na obelgi reagują spokojnym odwróceniem głowy w inną stronę.

Nie jesteśmy wcale zwolennikami awanturniczej polityki zagranicznej. Uważamy jednak, że nasz rząd za mało okazuje inicjatywy i energji na terenie międzynarodowym. Sama defensywa nic nam nie da wobec oszalałego przeciwnika, atakującego z furją teutońską. Potrzebne jest potężne uderzenie, któreby przywróciło mu przytomność.

Oto co pisze „Augur" londyński w korespondencji do „Ill Kurjera Codziennego":

„Jedna rzecz niepokoi jednak Niemców: to, że Polska od pewnego, czasu dowodzi wymownie, że „stać ją" na to, by była wielką potęgą europejską. Berlin obawia się najbardziej inicjatywy polskiej, która może zniszczyć umiejętne uszeregowanie argumentów wrogiej propagandy i która przedewszystkiem może przyspieszyć decyzję, zanim manewr niemiecki osiągnie swe cele.

Z zainteresowaniem można czytać obecnie w prasie niemieckiej objawy, rzekomego zadowolenia na wiadomość, iż rząd polski ma zamiar sam wystąpić pierwszy, aby uzyskać definitywne i nieodwołalne zabezpieczenie „korytarza". W dziennikach niemieckich mówi się: „Sie sollen nur kommen" to znaczy: „Niechaj przyjdą to się ich ładnie urządzi!" Radość ta nie potrafi nas oszukać.

Jest to radość na rozkaz, aby siać wrażenie w Polsce, że wszelka inicjatywa idąca z Warszawy, skończy się na korzyść Niemiec.

Tylko ostatni z głupców dałby się nabrać na ten ordynarny manewr. Polityka niemiecka potrzebuje w tej chwili czasu, aby otrzymać jeżeli już nie przyrzeczenia pozytywne, to przynajmniej jakieś oświadczenia kompromisowe z Londynu, Paryża i Rzymu, aby związać z góry ręce wielkim potęgom, które inaczej mogłyby obalić niemiecki plan przywłaszczenia sobie Pomorza. Trzeba się porozumieć. Ale... jest inicjatywa i... inicjatywa.

Polska — tak przynajmniej rozumieją jej przyjaciele, oraz przyjaciele sprawiedliwości — posiada nieodwołalne prawo dostępu do morza. Pomorze jest odwieczną prowincją polską, zaludnioną przez Polaków od początku historji. Nie chodzi o dyskutowanie na temat tego prawa Polski. Dyskutowanie takie byłoby dobrowolnem osłabieniem niewzruszonej pozycji. Propaganda niemiecka chętnie widziałaby ten argument, aby móc wykazać w ten sposób że sami Polacy nawet nie są tak bardzo pewni swoich praw do tego dostępu do morza.

Nie chodzi tu więc zupełnie o to. Nie chodzi o kwestję rzekomego korytarza, lecz o kwestję napadu niemieckiego na Polskę. Pakt Ligi Narodów oraz pakty, które się do niego dołączyły, powiadają wyraźnie: „Nie będziesz atakował swego sąsiada". Rzecz jasna, że można atakować nietylko z bronią w ręku, lecz równie niebezpiecznie przy pomocy propagandy, wojny ekonomicznej itd. Wszystko to Niemcy praktykują względem Polski od lat i prowadzą tę subtelną wojnę bez przerwy, trzymając stale w rezerwie groźbę wojny prawdziwej, która wybuchnie w dniu, w którym Niemcy będą uważali za stosowne rozpętać to, co nazywa się w Berlinie „wolą narodu".

Nie chodzi zatem o „korytarz", lecz o prawo Polski do egzystencji w pokoju. I tą właśnie kwestją będzie musiała zająć się Europa nie wówczas, gdy podoba się to dyplomacji niemieckiej, lecz natychmiast, możliwie jak najprędzej. Każda z wielkich potęg europejskich musi zdawać sobie sprawę z tego, że chodzi tu o problem międzynarodowego bezpieczeństwa."

Innemi słowy to ujmując, Niemcy są już obecnie winne **agresji** przeciwko Polsce. Z dokumentami w ręku można udowodnić przed forum międzynarodowym, że od szeregu lat Niemcy prowadzą niedopuszczalną w myśl paktu Ligi Narodów i niebezpieczną dla pokoju propagandę zwróconą przeciwko Polsce, która to akcja jest otwartym przygotowaniem do wojny. Polska więc powinna złożyć w Lidze Narodów skargę przeciwko agresji niemieckiej i zażądać zastosowania wobec Niemiec sankcji przewidzianych dla agresorów. Jeżeli dotychczas nasz rząd tego nie uczynił, jest to tylko dowodem braku inicjatywy i energji, z jego strony.

Polska ma również prawo w myśl przepisów prawa międzynarodowego ogłosić, że uznaje propagandę niemiecką za

akt wrogi i zastosować odpowiednie *retorsje* w stosunku do Niemców i majątku niemieckiego.

W każdym bądź razie jakiś objaw energji, jakaś reakcja jest rzeczą konieczną. Dotychczasowy brak inicjatywy wydałby w przyszłości jeszcze fatalniejsze, niż dotychczas owoce. Musimy pamiętać o tem, że energiczna reakcja rządu i społeczeństwa polskiego dodałaby odwagi naszym przyjaciołom i zdrowemu odłamowi opinji na zachodzie, a nawet i tym nielicznym wyjątkom wśród narodu niemieckiego, które nie poddały się ogólnemu szaleństwu i furji i mają odwagę myśleć. Wyjątki takie istnieją. Oto, co pisze „Polonja" o prof. Foersterze p. t. „Człowiek, który w Niemczech cierpi za prawdę":

„W Polsce dostatecznie znane są wywody sławnego profesora monachijskiego dr. Foerstera, który domagał się rewizji fałszywego stanowiska Niemiec wobec Traktatu Wersalskiego. Streszczenie jego odczytu paryskiego zamieściła również wiedeńska „Reichspost", organ partji chrześcijańsko-społecznej, opierając się na sprawozdaniu pisma frencuskiego, zaopatrując odnośną korespondencję tytułem „Omyłki profesora Foerstera", Foerster wysłał do redakcji „Reichspoit" sprostowanie, w którem zaznacza, że francuskie sprawozdanie z jego odczytu jest tendencyjne. „Reichspost" sprawozdania to przyjęła do wiadomości, ale zaznaczyła, że brak w niem sprostowania jego powiedzenia, że mapa Europy wymierzona Traktatem Wersalskim jest najsprawiedliwsza.

W tych dniach prof. Foerster na uwagę wspomnianego pisma odpowiedział następująco: W tej formie się nie wyraziłem; powiedziałem natomiast, że wersalskie uporządkowanie kwestji Gdańska i korytarza polskiego wznowiło starą sytuację, kiedy Gdańsk był miastem handlowem pierwszej klasy dla całego polskiego „Hinterlandu", podczas gdy ekspanzywna polityka Fryderyka Wielkiego oderwała je od „Hinterlandu", tak, że stało się tylko miastem prowincjonalnem. Tem nie powiedziałem nic innego, jak tylko stwierdziłem, że zarządzenie wersalskie o wiele lepiej odpowiada etycznym okolicznościom i gospodarczemu ułożeniu owych krajów z całą wschodnią Europą, aniżeli stan wytworzony przez Fryderyka Wielkiego. Chociażby Traktat Wersalski miał jaknajwięcej błędów, można je drogą pokojową usunąć tak, jak stało się to z reparacjami, ale jeśli chodzi o rzeczywiste granice na wschodzie to niema tu nic innego, jak tylko logiczne zastosowanie światowej zasady narodowościowej w jej pochodzie z zachodu na wschód. Dzięki sile tej zasady Niemcy same zorganizowały się w państwo narodowe; ale z drugiej strony Niemcy uniemożliwiały logiczne następstwa tej zasady w Europie wschodniej, t. j. w świecie zachodnich Słowian. Z prób obrony tej zasady wyrosła wojna światowa, ale historja świata kroczyła dalej. Jeżeli Niemcy próbować będą obalić znowu tę zasadę, na której wybudowane zostało ich państwo

to same runą. Można rewidować współpracę grup nowych w kierunku prostym, ale nigdy odwrotnie, gdyż inaczej Niemcy staną się terenem walki pomiędzy Zachodem a Wschodem. Co odnosi się do Gdańska i Korytarza odnosi się również i do Górnego Śląska. Rewizja fałszywego niemieckiego stanowiska wobec pokoju wersalskiego jest najdonioślejszym postulatem dnia, jest ocaleniem Niemiec i Europy przed nową katastrofą".

Tak powiada profesor dr. Foerster wiedeńskiej „Reichspost", która pozwoliła sobie wątpić, by znalazł się w Niemczech człowiek, któryby tak otwarcie wystąpił przeciwko dążeniom rewizjonistycznym niemieckich czynników.

Cała prasa niemiecka okrzyknęła prof. Foerstera zdrajcą stanu i zbrodniarzem..."

Możemy zacytować również i drugi przykład. Znany ekonomista niemiecki poglądów socjalistycznych Walter Maas pisał ostatnio między innemi w czasopiśmie „Sozialistische Monatshefte" w art. p. t. „Polska zwraca się frontem ku morzu":

Edward Benesz oświadczył z okazji debat nad unją celną austrjacko-niemiecką, że Czechosłowacja musi być przeciwna takiej kombinacji, gdyż 40% jej handlu idzie do Niemiec, a 20% do Austrji, w razie więc unji, 60% podlegałoby kontroli Wielkich Niemiec. Przez to zaś zagrożonaby była niezależność gospodarcza republiki Czeskosłowackiej, a to znów naraziłoby na niebezpieczeństwo jej wolność polityczną.

Przyjmijmy, że Polska niema korytarza. Wówczas 80% jej handlu szłoby do Niemiec, albo przez Niemcy; i w obecnych czasach konkurencyjnych gospodarstw narodowych istniałaby rzeczywiście perspektywa zupełnego opanowania Polski przez Rzeszę niemiecką...

Czyż naprawdę należałoby Gdańsk przyłączyć znów do Rzeszy? Nie sądzę, by chcieli tego kupcy gdańscy w dzisiejszych warunkach, w rozbitej i zwalczającej się nawzajem Europie. Przedstawicielom handlu gdańskiego mówi dziś wiele Elbląg, którego port jest całkiem martwy. Gdańsk bez zaplecza byłby w tem samem położeniu. Polska nie dałaby dzisiaj Gdańskowi monopolu na swój handel morski, jak to uczyniło dawne państwo polskie...

Do r. 1929 Gdańszczanie zarabiali zupełnie dobrze na handlu polskim, jak tego dowodzi wzrost wkładów bankowych, obieg pieniężny, rentowność przedsiębiorstw. Że handel w przeważającej mierze był tylko handlem spedycyjnym, jest prawdą; tendencja ta istniała już przed wojną i tłumaczy się — przynajmniej częściowo — także przez ignorancję Gdańszczan w zakresie warunków zaplecza polskiego. Ilużto kupców gdańskich umie np. mówić po polsku?..."

Oczywiście, takie głosy można policzyć w Niemczech na palcach. Milkną one wobec poryku szowinistycznego Wotana, dyszącego żądzą krwi i mordu. Dlaczego jednak wyraźną i zdecydowaną postawą nie mamy dodać takim ludziom odwagi—zamiast kontynuować dalej kłopotliwe milczenie, które

jest argumentem dla naszych wrogów. Mamy wrażenie, że gdyby rozniosło się w niemieckiej opinji publicznej, że Polska gotowa jest bronić każdej piędzi ziemi pomorskiej wszystkimi rozporządzalnemi siłami—niejeden Niemiec namyśliłby się dwa i trzy razy, czy istotnie będzie rzeczą bezpieczną rozpoczynać wojnę. Wprawdzie dotychczas nikt u nas tej tezy—zupełnie naturalnej—nie kwestjonował. Ale też nie potrafiliśmy odpowiednio jej wygrać na terenie międzynarodowym...

* * *

Początek nowego roku dał wielu pismom i publicystom sposobność do omawiania ogólnej sytuacji katolicyzmu w Polsce. Mamy w tej sprawie poglądy optymistyczne i pesymistyczne. Optymistycznie ujmuje zagadnienie Kat. Aj. Prasowa, która widocznie gwoli podniesienia serc i ducha podaje zdobycze katolicyzmu w latach ostatnich, wychodząc z założenia, że w czasach nasuwających tyle trosk i niepokojów, dobrze będzie zapoznać się z katolickim dorobkiem Polski Odrodzonej:

„Co przedewszystkiem uderza w oczy, to atmosfera katolicka naszego życia, która przejawia się raz poraz ze zdumiewającą potęgą, czy to w postaci tego miljona pielgrzymów, którzy odwiedzili ostatniej jesieni Częstochowę, czy w owych miljonach podpisów na protestach przeciw osławionym projektom prawa małżeńskiego. Tego ducha katolickiego niewątpliwie budzą i podtrzymują Biskupi i duszpasterze. Ich głos, jak np. głos JEm. Ks. Kardynała Hlonda o państwie chrześcijańskiem, wywołuje głębokie wrażenie nietylko w kraju ale i zagranicą, spotykając się z przychylnem przyjęciem wszystkich ugrupowań i całej prasy, niezależnie od kierunku politycznego. Świadczy to wymownie, że Kościół w Polsce odgrywa rolę czynnika nadrzędnego, stróża sumień, którego powadze poddają się wszyscy. Dalsze wzmocnienie tej powagi niewątpliwie przyczyni się do pomyślnego załatwienia żądań katolickich w sprawie małżeństwa, prawa karnego, konstytucji, wychowania młodzieży i t. d.

Życie religijne w kraju bije silnem tętnem. Świadczą o tem przepełnione kościoły, których wciąż jest zamało dla pomieszczenia wszystkich wiernych, jakkolwiek w okresie powojennych lat 14-tu wybudowano u nas około 1600 świątyń katolickich, nie licząc kaplic. Już sama ta liczba wystarczyłaby jako świadectwo wielkiej żywotności religijnej naszego narodu. Lecz duch katolicki naszego społeczeństwa manifestuje się też głębiej w życiu wewnętrznem, w działalności organizacyjnej katolików.

Obok rozwoju organizacji czysto kościelnej w postaci nowych diecezyj i parafij (dość powiedzieć, że taka diecezja kresowa jak np. łucka stworzyła w ostatnich latach 71 nowych parafij, których ważnej roli na polskich kresach trudno nie docenić) — powstała lub rozwinęła się potężna organizanizacja czynników świeckich.

Na czoło wysuwa się tu ze względu na swe znaczenie Akcja katolicka. Rozsiane po całej Polsce jej placówki są to ośrodki pogłębienia życia religijno-moralnego wśród szerszych warstw społecznych, podstawy doniosłej misji „katolicyzowania katolików”, jak to nazwał JE. Ks. Biskup Adamski. Tak samo i w życiu zakonnem widzimy dalszy rozwój. Zakony i zgromadzenia, usunięte lub ograniczone przez zaborców, dziś w wolnej Polsce prowadzą szkoły, ochronki, szpitale. Niektóre zakony przeniesione na nasze ziemie już w wieku XX, mają dziś po kilkudziesięciu ojców, i paruset braci i nowicjuszów a w swych zakładach wychowują setki młodzieży. Żniwo z tego błogosławionego posiewu będziemy zbierali za niedługie lata, kiedy dojdzie do głosu młode pokolenie.

Ważnym czynnikiem wzmocnienia, pogłębienia opinji kraju jest prasa katolicka, zarówno dla warstw inteligencji jak i ludu. Około stu organów wszelkiego rodzaju o nakładzie przeszło 1.500.000 egz. to już jest siła, z którą należy poważnie się liczyć. Trzeba przytem zaznaczyć, że większość tych pism powstała już po wojnie (zwłaszcza tygodniki diecezjalne) i w nowych warunkach osiągnęła swój zdumiewający rozkwit. Dla przykładu należy tu wspomnieć o „Rycerzu Niepokalanej”, który ostatnio bije zgórą 600 tysięcy egzemplarzy.

Odrodzenie życia katolickiego szczególnie uwidacznia się wśród młodzieży, zarówno ludowej jak akademickiej. Liczba 225.000 członków Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej jest wymownem świadectwem, że nie zmarnowano u nas czasu na tem polu. Wśród młodzieży wyższych uczelni zwraca uwagę zwrot ku życiu religijnemu. Tysiące akademików, odbywających rekolekcje i przystępujących do Komunji św., wymownie wskazuje na to, że młoda polska inteligencja znalazła ostoję w Kościele i że z katolicyzmu uczyniła sztandar swego życia i czynu. Zainteresowanie się naukowe katolicyzmem, ruch liturgiczny, akcja charytatywna i społeczna świadczy, ż młodzież ta będzie przedstawiać typ katolicki pogłębiony, zdolny do przejawiania swych zasad w codziennem życiu społecznem i politycznem.

Na polu społecznem mamy też możność stwierdzenia korzystnych przemian. Jeśli chodzi o stronę czysto zewnętrzną, to należy zwrócić uwagę na budowę „domów katolickich”, których w tej chwili jest już pareset. Znajdują tam schronienie wszystkie instytucje katolickie, a więc Akcja katolicka, akcja c[illegible]rytatywna, związki młodzieży, robotników, kółka rolnicze itp. W ten spos[illegible] stwarza się atmosfera współżycia społecznego polskiej ludności katolickiej oraz przygotowuje się grunt pod odrodzenie katolickie Polski, nad czem gorliwie pracuje zwłaszcza Episkopat Polski przy pomocy duchowieństwa i świeckich katolików.

Przedstawiony powyżej ob[illegible]az w bardzo pobieżnym skrócie niech doda otuchy działaczom katolicki[illegible] a ożywi bezczynnych.”

Niewątpliwie, mimo wszystkich braków i niedociągnięć potężne są siły katolicyzmu w Polsce i nawet wrogowie w taktyce swojej muszą się z tym faktem liczyć. Jednakże wśród ludności wiejskie daje się, niestety, zauważyć w ostatnich latach

pewien odpływ od religji, wynagradza to w pewnej mierze młoda inteligencja, której gorliwość religijna i uświadomienie wykazują w ostatnich latach poważne postępy. Natomiast wśród proletarjatu miejskiego i wiejskiego jest źle. Głód jest złym wychowawcą, a do praktykowania cnoty potrzebne jest również pewne minimum dobrobytu. Pozatem zaś stwierdzić należy, że nadal bardzo słabo obfituje gorliwość inteligencji do pracy społecznej wśród ludu i dla ludu. To też chiński mur wzajemnego niezrozumienia i wzajemnych uprzedzeń stoi nadal między polską inteligencją a polskim ludem.

Istnieje wprawdzie poza Akcją Katolicką ruch chrześcijańsko-społeczny, oparty na zasadach katolickich, którego zadaniem specjalnem jest realizowanie zasad zawartych w encyklikach społecznych w życiu kulturalnym, gospodarczym i politycznym. Ruch ten w ostatnim roku dokonał wewnętrznej reorganizacji i poczynił poważne postępy, mimo to jednak nie zdołał jeszcze stanąć na odpowiednim poziomie—właśnie z powodu braku inteligencji, gotowej do współpracy z ludem i do śmiałego propagowania i realizowania zasad przebudowy gospodarczo-społecznej.

Bardziej krytycznie ocenia sytuację katolicyzmu w Polsce publicysta „Głosu Narodu", który patrzy na nią pod następującym kątem widzenia:

„Katolicyzm w Polsce — jak wszędzie poza Meksykiem i Rosją — w trojaki sposób oddziałuje poza kościołem na społeczeństwo: jako „katolicyzm polityczny" (wywierający wpływ na poszczególne funkcje ustroju politycznego), jako „katolicyzm społeczny" wnikający w życie społeczno-gospodarcze przez odpowiednie organizacje i instytucje), i jako „katolicyzm kulturny" (formujący myśl ludzką, światopogląd przez prasę, książkę, literaturę, teatr, sztukę i t. p.)... Z jakim dorobkiem w tych trzech dziedzinach rozpoczynamy Nowy Rok?

...„Katolicyzm kulturny", to — w Polsce dopiero problem, którego się jeszcze nie zna i nie dyskutuje. Nie istnieje świadoma celu katolicka beletrystyka; te powieści i te poezje, które się mianują u nas katolickiemi, zawdzięczamy tradycji środowiska danego autora, rzadko jego własnym przeżyciom... Tem bardziej nie mamy katolickiej krytyki literackiej, bo do niej już tradycyjna, odziedziczona religijność nie wystarcza... A nasza katolicka prasa? Można o niej powiedzieć, że jest olbrzymia, i równocześnie, że jej niema! Jest bowiem mnóstwo papieru, który się zadrukowuje poprawnemi z katolickiego punktu widzenia wiadomościami (dzienniki) lub pobożnemi rozważaniami (prasa perjodyczna dostarczana głównie przez nasze kongregacje zakonne); a równocześnie konstatujemy, że świat wy-

kształcony wyznaje zasady obce zasadom religji, i że świat kultury polskiej, choć nie wrogi, jest jednak dalekim katolicyzmowi.

Co do „katolicyzmu społecznego", to są to „disiecta membra", wyspy pływające po morzu wrogiem, podtrzymywane bezprzykładną nieraz ofiarnością jednostek. Ale to nie jest ruch. Brak mu dynamiki, zdobywczości, świętego imperjalizmu, który z pewną zazdrością podziwiamy w innych obozach... Wina to przywódców, którzy odrabiają nałożone im obowiązki, lecz nie mają odwagi, ani wiedzy na tyle, żeby się ważyć na jakąś nową krucjatę społeczną. Ale i wina katolickiego społeczeństwa, które albo nie zna zupełnie społecznych encyklik Papieży, albo je uważa za zbiór nierealnych, jeśli nie demagogicznych (bo i tak się je ocenia w katolickim świecie) projektów... Dlatego tylko wegetują nasze Ch. Z. Z., bite w dodatku przez organizacje zawodowe innych kierunków. Dl tego inne społeczne organizacje, lub instytucje chwieją się za lada podmuchem nieprzyjaznego wiatru.

Wreszcie — „katolicyzm polityczny". Czy wogóle można o nim mówić?... Na polu stosowania zasad religji do życia politycznego doszliśmy do takiego rozgardjaszu i w końcu do takiego oportunizmu, że da się ten stan rzeczy porównać jedynie z sytuacją katolicyzmu politycznego we Francji; a to znaczy — zupełny upadek... Przed majem r. 1926 stosunki pod tym względem układały się dość pomyślnie (oczywiście w porównaniu ze stanem dzisiejszym). Były zaczątki dobre katolickiego obozu politycznego i katolickiej myśli państwowej. Potem przyszedł „przewrót". Nastąpił przewrót (bez cudzysłowu) i w katolickich poglądach politycznych. Pojawiły się w pismach (rzekomo katolickich) twierdzenia, że — katolik powinien w życiu politycznem występować jako obywatel, a nie jako katolik; i to z podpisem księdza. Występowano w dziennikach (rzekomo katolickich) przeciw partjom, które chciały realizować katolicyzm w życiu politycznem, ponieważ—mówiono—pojęcie „partja" nie godzi się z „katolicyzmem" (jak gdyby im szło o identyfikację Kościoła z partją). Przewrót był tak wielki, że „najlepsi" katolicy głosowali na kalwinów, odstępców od wiary i t. p., choć ich do tego żadna konieczność nie zmuszala.

Teraz wraca im zdrowy rozsądek i sumienie. Teraz — zapewniają — „przerażeni są" tem, co widzą i czego sami doświadczają. Trochę to późno. Klęski, które bezprzykładną prawie dezercją z szeregów wyrządzili katolicyzmowi politycznemu, nie da się prędko naprawić... Ale obok tych są jeszcze tacy, którzy tkwią po drugiej stronie frontu. „W interesie katolicyzmu".—mówią. Ci są straceni dla przyszłego obozu katolickiego. Stracili to, co się nazywa czuciem katolickiem. Trzeba ich tylko prosić, by sobie nie uzurpowali urzędu patronów Kościoła."

Istotnie, jeżeli chodzi o stosunek katolików do zagadnień politycznych, to w ostatnich latach nastąpiło u nas ogromne spaczenie pojęć. Ze słusznej zasady, że Kościół katolicki nie może brać na siebie odpowiedzialności za posunięcia polityczne poszczególnych grup katolików zaczęto wyciągać zupełnie fałszywy i zdrożny wniosek, że katolik najlepiej zrobi, gdy

trzymać się będzie najdalej od życia publicznego i ugrupowań politycznych. Tak sobie tłumaczą te rzeczy ludzie o płytkiem umyśle i tchórzliwym sercu, usprawiedliwiając przez to własne lenistwo i zapominając o wskazaniach Namiestnika Chrystusowego, który wielokrotnie podkreślał w Swoich enuncjacjach, że apolityczność Akcji katolickiej nie zwalnia katolików od prawa i obowiązku uczestniczenia w życiu publicznym i starania się, aby instytucje tego życia przesiąknięte były duchem katolickim. Drugim bardzo rozpowszechnionym błędem w tej dziedzinie jest mniemanie, że skoro Kościół nie nakazuje należeć do tej, czy innej partji i nie bierze za nią odpowiedzialności—to jest rzeczą obojętną z punktu widzenia katolickiego, do której partji katolik należy, byleby tylko nie zawierała ona w programie tez jaskrawie sprzecznych z zasadami Kościoła. Zupełnie błędny, abstrakcyjny i nierealny sposób myślenia. Oczywiście wygodny dla wielu ludzi, którzy mogą sobie wybierać oportunistycznie przynależność polityczną według indywidualnych potrzeb i interesów, nie potrzebują wytężać w życiu publicznym myśli nad tem, co jest potrzebne dla katolicyzmu w Polsce. Można powiedzieć, że w sercach swoich i umysłach ludzie ci już dawno przeprowadzili rozdział Kościoła od państwa, jeszcze zanim wrogowie religji w ustawach zdołali to uczynić, że zbudowali chiński mur między konglomeratem życia indywidualnego a zbiorowego i cofnęli się do dawnych koncepcji liberalnych w tej dziedzinie. Nie można się dziwić, że dla ludzi takich obojętne są zagadnienia poruszane w encyklikach Rerum Novarum i Quadragesimo Anno, i w innych że, będąc katolikami w życiu prywatnym, każdego nieledwie dnia w życiupublicznym przeciwstawiają się koncepcjom społecznym Kościoła.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tych warunkach nie ma w Polsce jedności i solidarności katolików na terenie życia publicznego.

Słusznie też publicysta „Głosu Narodu", porównując stosunki panujące wśród katolików polskich do analogicznych stosunków we Francji, w ten sposób opisuje w innym, b. ciekawym artykule smutne skutki tych stosunków:

„Powszechnie znaną jest rzeczą że katolicyzm francuski, jak jest wpływowym czynnikiem w dziedzinie życia kulturalnego i stąd wielki wpływ

wywiera na sfery wykształcone, tak w życiu publicznem, państwowem, odgrywa bardzo skromną rolę. Rządzi krajem partja radykalna, uznająca „świeckość" państwa za dogmat swego światopoglądu. Katolicy politycznie rozbici między frakcje polit. od najskrajniejszej prawicy do skrajnej lewicy (bo i do partji radykalnej należą katolicy, jak donosiła niedawno K.A.P.), nie są zdolni do przeciwstawienia się atakom na prawa religji i Kościoła. Jest to prawdziwa tragedja francuskiego katolicyzmu i zarazem „memento" dla tych katolickich społeczeństw, które — jak n. p. polskie — lekceważą sobie rolę polityki w życiu religijnem.

Z pisma „Credo" (organu zjednoczenia francuskich katolików „Federation Nationale Catholique") dowiadujemy się, że przywódcy francuskiego katolicyzmu boleją nad tym stanem rzeczy, ale, niestety, nie widzą możności zmiany. Szczególnie niepokoi ich stan sprawy szkolnej.

Od lat szeregu francuski radykalizm realizuje hasło t. zw. jednolitej szkoły („l'ecole unique"). Nazwa jest niewinną, jak widać; pojęcie jednak „szkoły jednolitej" otrzymało antykatolickie znaczenie. Bardzo szczerze i otwarcie wyjaśnił je Blum, leader socjalistyczny, w piśmie „l'Ecole Liberatrice", wydawanem przez socjalistyczny syndykat nauczycieli. Oto, co, według Bluma, oznacza „szkoła jednolita": „Zniesienie wolnych (prywatnych, katolickich — przyp. „Gł. N.") szkół... Organizacja selekcji (doboru) uczniów przez państwo z wykluczeniem rodziny... Ostateczne i zupełne zeświecczenie (wyrzucenie religji) całego szkolnictwa".

Ponadto—donosi „Credo" — „Liga Obrony Praw Człowieka" i wspomniany, potężny syndykat nauczycielstwa zapowiedział na najbliższy czas „ofensywę" przeciw „wolnym" (prywatnym, katolickim) szkołom i będzie się domagał zniesienia tych szkół przez państwo. Niebezpieczeństwo tem jest większe, że ministrem oświaty od dłuższego czasu jest mason, p. Monzie, i że radykalne rządy dzięki poparciu socjalistów utrzymywać się mogą przez czas dłuższy.

„Credo" wobec tego podnosi apel: „Czuwajcie, ojcowie rodzin!".

Wolno wątpić, czy ten apel odniesie zamierzony skutek. Należałoby raczej pomyśleć o jakiemś zjednoczeniu i porozumieniu stronnictw, jeśli nie popierających katolicyzm, to przynajmniej niezwalczających go. Na to się jednak nie zanosi.

Jest to doprawdy tragiczne. Tyle lat panowania masonerji, tyle lat walki z religją—nie doprowadziły francuskich katolików do tego podstawowego zrozumienia, że przyczyną politycznych klęsk katolicyzmu jest nie co innego tylko antykatolicka polityka, i że skutkiem tego wszystko trzeba zrobić, wszystko poświęcić, by tylko do stworzenia jakiegoś porozumienia (jeśli już nie obozu) katolickiego doprowadzić.

Inaczej stosunki wyglądają w Belgji. Jednolitość katolickiego obozu politycznego tutaj sprawia, że religja i katolicyzm w życiu tego kraju odgrywają wybitną rolę. Ale, bo też belgijscy katolicy nie zostawiają polityki demagogom, ale najlepsze swoje siły kierują do życia politycznego, a wielką uwagę przykładają do tego, by się nawet młodzież zawczasu przyzwyczajała do uprawiania „katolickiej polityki".

Właśnie w połowie grudnia odbył się w Brukseli I kongres katolickiej młodzieży belgijskiej dla dyskusji politycznych zagadnień. W zebraniu dały się wyróżnić trzy grupy młodzieży uniwersyteckiej, robotniczej (J. O. C.) i pozaszkolnej (wiejskiej, handlowej i t. p.) Razem te grupy łączą się w „Centrali politycznej, której organem jest pismo „l'Esprit Nouveau" (Nowy Duch).

Kongres dyskutował aktualne zagadnienia przebudowy ustroju społecznego i roli katolików zorganizowanych politycznie w tej przebudowie. Podstawą dla dyskusji była encyklika „Quadragesimo anno". Omówiono szczegółowo wszystkie możliwości realizacji ustroju korporacyjnego w Belgji."

Jeżeli ktoś przypuszcza, że nasze stosunki są tak dalekie od francuskich, to zaraz możemy go z błędu wyprowadzić. We Francji istnieje rząd który stoi oficjalnie na stanowisku odłączenia Kościoła od państwa i t. zw. szkoły świeckiej. Nasz rząd natomiast wypowiada się oficjalnie, jako przyjaciel Kościoła i zwolennik wykonania Konkordatu, ale w rzeczywistości rzeczywistej przedstawia się to zupełnie inaczej. Spotykamy się często z faktami, zaprzeczającymi najelementarniejszemu poszanowaniu roli autonomji Kościoła w swoim zakresie. Weźmy np. stosunki szkolne, czy nie przypominają one wprost niektórych posunięć rządu faszystowskiego potępianych i napiętnowanych przez Stolicę Apostolską. Oto, co podaje K.A.P.:

„Prasa łomżyńska donosi, że rozpoczął się tam proces przeciwko kilku nauczycielom o zniesławienie ks. prefekta. Proces budzi powszechne zainteresowanie ze względu na obrażoną osobę i na stosunki w szkołach tamtejszych panujące.

Jednocześnie w państwowem gimnazjum żeńskiem władze szkolne przeniosły ks. prefekta w stan nieczynny. Przyczyną było, że wystąpił w obronie moralności młodzieży żeńskiej, której nakazano uprawiać w gorszących kostjumach na publicznem boisku ćwiczenia wspólne z młodzieżą męską i żołnierzami. Rodzice są tem postąpieniem władzy szkolnej i pozbawieniem swych dzieci już od dłuższego czasu nauki religji głęboko dotknięci i rozgoryczeni.

Równocześnie szerzy się w szkołach średnich w Łomży wpływ antyreligijny, wskutek zaprowadzenia w tych szkołach jakiejś organizacji politycznej, którą się nazywa Strażą Przednią, a do której napędza się młodzież różnemi sposobami. Ta organizacja ma trzy stopnie. Do stopnia pierwszego przyjmuje się młodsze dzieci, do drugiego zwanego literą F, zapisuje się młodzież wedle pewnego doboru, a do stopnia trzeciego, czyli „wyższego", zwanego stopniem L (czyli Legjon Młodych) przyjmuje się już wybranych, bo tam obowiązuje zaprzysiężenie co do pracy i co do ducha, w jakim ta praca się odbywa,

Nacisk na młodzież idący z góry, aby do tej organizacji się zapisywała jest silny. Chłopcy czy dziewczęta wstępujący do oddziału L podają w swej deklaracji jako swoją ideologję „Polityczną" — Legjon Młodych Wspólne zebrania odbywają się w lokalu B.B.W.R. pod przewodnictwem, ucznia szkoły mierniczej.

Jaką zaś ideologję członkom tej organizacji rzeczywiście się wpaja, o tem niech świadczy między innemi odczyt wygłoszony przez jednego z uczniów państwowego gimnazjum męskiego na temat: „Państwo, Kościół i kler".

Cały ten odczyt był stekiem napaści i oszczerstw rzuconych na Kościół, na papieża, na księży biskupów i na duchowieństwo. Stawiał za przykład do naśladowania odwołanie przez Litwę swego posła z Rzymu i wypędzenie duchowieństwa z Hiszpanji. Ten młodzik „z całą stanowczością twierdził", że kierunek wychowawczy Kościoła jest sprzeczny z zasadami wychowania „nowoczesnego i państwowego", że „dogmat łaski uświęcającej wyklucza samodzielność człowieka", co jest sprzeczne z nowoczesnem pojęciem indywidualności, że nauka Kościoła podważa wychowanie państwowe itd.

Rzucił dalej oszczerstwo na JE. ks. arcyb. Jałbrzykowskiego, jakoby będąc biskupem łomżyńskim odprawił uroczyste nabożeństwo za mordercę prezydenta Narutowicza. Powtarzał też fałsze o klerze łomżyńskim, jakoby na skutek rozkazu ks. biskupa nie chciał odprawić nabożeństwa za spokój duszy śp. ministra Czerwińskiego. Zdaniem tego młokosa należy dążyć do upaństwowienia Kościoła. Wygłaszający tego rodzaju poglądy jest za wiedzą swoich nauczycieli prezesem najwyższego stopnia L. (Legjonu Młodych) w straży przedniej gimnazjum męskiego. Niewątpliwie referaty jak powyżej piszą starsi. W podobnym duchu odbywają się też dyskusje na zebraniach tej organizacji." *)

I nie pocieszy nas to wcale, co K.A.P. podaje na końcu że „społeczeństwo łomżyńskie jest bardzo zaniepokojone", gdyż wiemy, że to „społeczeństwo" wybrało — przy pomocy wprawdzie władz administracyjnych... posłów B.B. do Sejmu, a ci obecnie ręką nie ruszą, aby skłonić rząd do prowadzenia odpowiedniej polityki szkolnej. A przecież przedtem mówiło się nieraz, że B. B. jest także partją nie gorszą od innych, do której katolikom wolno należeć...

Tak jest. Kościół nie wydał zakazu należenia do B. B. Ale, czy jest wskazane... czy leży w interesie katolicyzmu w Polsce, aby inteligencja katolicka należała do B. B.!? Życie temu zaprzecza... *S. J. K.*

---

*) W chwili oddawania numeru do druku prasa codzienna doniosła, że p. minister Jędrzejewicz w przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu komisji bodżetowej pozwolił sobie na niedopuszczalne inwektywy i monity pod adresem hierarchji duchownej. Niesłychanem tem wystąpieniem zajmiemy się w następnym numerze. Dziś tylko stwierdzamy ten znamienny fakt, świadczący o ustosunkowaniu się wpływowych przedstawicieli sanacji do hierarchji kościelnej w Polsce.

DZIAŁ LITERACKO - OPISOWY.

Bezład intelektualny.

Książki utraciły swoje problematy, przestały kierować żywem życiem. Wśród ostatniej produkcji literackiej, bardzo obfitej, zaledwie kilka jest książek, poruszających sprawy społeczne, „Wyrąbowy chodnik" Morcinka, „Nieznany kraj" Kossak-Szczuckiej, „Na podszybiu" Waśniewskiego, przypominające trochę Morcinka... Nieliczne pozycje ideowe. Reszta psychologizm erotyczny i sensacja.

Zapomniano, że czytanie jest pracą wewnętrzną, jest przemyśleniem i emocją, czytanie książki z zagłębieniem się tylko w fabułę, w rozwijający się przed oczami film zdarzeń jest nie pracą, lecz lenistwem umysłowem, całe pokolenia są w bezwładzie intelektualnym.

Można powiedzieć, że wywołuje takie zjawisko depresja gospodarcza. Ale przed wojną była ona również, zwłaszcza dla inteligencji, nie znajdującej zastosowania w kraju zabranym. Prócz tego, niewola była chorobą wszechdzielnicową i dolegliwą i energje narodowe wytężały się w kierunku jej zrzucenia. Teraz ucisk i cierpienia kryzysu powinnyby obudzić myśl i wolę ku znalezieniu wyjścia z tego czarnego tunelu. Ale prócz awantur i oklepanych, natrętnie powtarzanych frazesów komunistycznych literatura nie podaje żadnej odpowiedzi. Przechodzi obok otwartych ran życia; chce być narkotykiem, nie zaś lekarstwem.

Przygnębienie kryzysowe wyraża się w zupełnem fatalistycznem odrętwieniu, w zupełnym bezwładzie umysłowym.

Inna sprawa, że na odintelektualizowanie powojenne wpłynął rozwój sportu i wartki potok życia niepodległego. Siły ludzkie i czas obróciły się na politykę, na organizacje społeczne, na różne akcje, hamowane i uniemożliwiane dawniej przez zaborców.

Ale i te akcje coraz się kurczą. Kryzys zabija rozpęd życiowy, możność życia ideowego, zabija zainteresowania intelektualne.

Dźwignąć się z tego potrzeba, gdyż tylko zbiorowa myśl i wola może zaradzić ciągłemu staczaniu się w dół materjalnemu i moralnemu zarazem.

Dlatego trzeba otrząsnąć się z tego głębokiego letargu umysłowego, w który pogrążona jest współczesność. Trzeba wyjść z rozleniwienia i zrozumieć, że zajmowanie się literaturą to praca umysłowa, a nie zabijanie czasu, nie rozrywka tylko.

Autorzy, którzy pozwolili na taki upadek literatury, przystosowując się do gustów publiczności, winni są obecnemu stanowi literatury. Ale najwięcej winni są wydawcy, którzy cynicznie traktowali książkę, jako towar i nic więcej i tylko miarę kupiecką do niej przykładali. Przy większem uspołecznieniu przyjdzie czas, gdy o wydaniu dzieł wartościowych będą decydowały jakieś inne czynniki, nie kupieckie i nie od nich będzie zależało, co się ukaże na rynku księgarskim. Zapowiedzią tych nowych, lepszych stosunków jest stworzenie Instytutu dla popierania literatury pod kierunkiem Artura Górskiego.

Nawrót do życia intelektualnego i do książki nie może dokonać się odrazu. Na terenie szkół i wyższych uczelni musi odbywać się propaganda książki, tak samo na terenie robotniczym i wiejskim. Wpajać należy to zrozumienie, że kształci się nie tylko umysł dla celów praktycznych, lecz i uczuciowość. W emocjach człowieka zawarta jest ta energja, która potem wyładowuje się w czynach. Jeżeli dziedzina emocjonalna oschła jest, jałowa, martwa,—nie rodzą się wśród niej czyny.

Życie uczuciowe narodu zgęszcza się i krystalizuje w dziełach sztuki, w najbardziej określonej, nakazowej formie nie ujawnia się w literaturze pięknej.

Dalecy jesteśmy od dydaktyzmu, który zwą tendencyjnością, zamąca wizję artystyczną, i działa najczęściej odwrotnie do zamierzenia. Ale przez to, że zamiast ludzi szubrawych, zbrodniczych, rozwiązłych, złych i niewierzących książka otoczy nas ludźmi wyższego typu i pokaże czyste i chrześcijańskie ich czyny—już dzieło zrobi swoje.

Zaiste beletryści i pisarze dramatyczni współcześni każą nam przebywać w tak złem towarzystwie, że tracimy sami etykę i dobre maniery.

Książki, nie zawierające tendencji złej, lecz z zasady całkiem bezproblematowe pogrążają nas w kinowe odrętwienie, w zagapienie się bezmyślne. Autorów trzebaby też wyrwać z letargu. Ale wobec nich trudniejsza jest metoda, niż dla mło-

dzieży. Łączność literatów polskich z myślą europejską utrudniona jest przez kryzys i brak popytu na dzieła wysokiej kultury. Środki naszego literata nie pozwalają na sprowadzanie książek i czasopism. Robi się często z naszego życia partykularz w rodzaju tych, jakie opisuje Perzyński lub Kiedrzyński. Łączność z zagranicą pomimo Pen Clubu jest również dostępna dla niewielu.

J. Ippoldt w broszurze „Jak młodzież naszą zachęcić do czytania?" (Książnica-Atlas 1932) podaje bardzo dużo sposobów na to: urządzanie wieczorów literackich, odciążenie lektury obowiązkowej, oddziaływanie rodziców i t. d. Tak, a jeżeli rodzice i poloniści też myśleć nie chcą?!

Pod tępym wpływem wydawców wyrabia się pęd do książki sensacyjnej, do książki pilnie nie poruszającej żadnych zagadnień. Ale, jeżeli książka naprawdę zatarga naszemi twierdzeniami, narzuci nam myśli, które są, jako chleb powszedni— czy właśnie wtedy nie wyciągnie do niej rąk masa czytelnicza?

Z bezwładu umysłowego, który panuje obecnie, trzeba jednak budzić społeczeństwo. I dopiero wtedy może społeczeństwo w swej zbiorowości ujrzy siebie i znajdzie wyjście ze ślepej ulicy.

Dla wierzących praca umysłowa, przezwyciężenie zaleniwienia duchowego praktykowana z takiem powodzeniem w zgromadzeniach zakonnych, gdzie z ludzi niewykształconych braci i sióstr-konwersek wyrabiają jednostki kulturalne i żyjące życiem wewnętrznem—jest wskazaniem wprost obowiązującem. I bodaj w naszem środowisku odrodzi się najprędzej wartościowa literatura piękna. *Anna Zahorska.*

Historja jakich wiele.

Cóż można powiedzieć o panu Zenonie Miarkiewiczu? Jeślibyśmy przyjęli powszechnie znaną klasyfikację Juljusza Słowackiego, to należałoby go bezwątpienia zaliczyć do „ludzi na miarę krawca, nie Fidjasza". W każdym jednak razie był to człowiek, w całem tego słowa znaczeniu, porządny; jeśli idzie o stosunek do państwa — przykładny i wzorowy obywatel. Krótko mówiąc, jednostka z tłumu, ale bezwzględnie dodatnia.

Życie płynęło panu Zenonowi spokojnym, uregulowanym korytem. Dzieciństwo, jakkolwiek nie było „sielskie" (był warszawiakiem), to jednakże można je nazwać „anielskiem". Opromienione niewinnemi igraszkami, w rodzaju „idzie lisek koło drogi", „kotek i myszka", choinką i różnemi rodzinnemi uroczystościami minęło, jak się to popularnie mówi, niby sen.

W szkole, jakkolwiek, nie prymus, to jednakże świecił innym przykładem. Pracowicie odrabiał lekcje, pilnie kolekcjonował dobre oceny i przechodził z klasy do klasy. Najazd bolszewicki w 1920 roku zastał go maturzystą. Nie namyślał się długo, świadectwo dojrzałości zamknął na klucz i zaciągnął się do wojska bronić ojczyznę przed wschodnimi barbarzyńcami.

W wojsku jak to zresztą można się łatwo domyśleć szlif generalskich nie zdobył, ale obowiązek swój spełnił, był dobrym żołnierzem. Do bitwy się nie rwał, krwi wroga nie był żądny, lecz za innymi w tyle nie został, w szeregu kolegom kroku dotrzymał i w rezultacie jako kapral z dwoma srebrnemi naszywkami do domu powrócił. Do zbiorów rodzinnych zamiast czaka i szabli ułańskiej, przywiózł fotografję, w szarym strzeleckim mundurze. Na tem skończyła się epopeja rycerska pana Miarkiewicza, juniora.

W międzyczasie pan Miarkiewicz, senior opuścił ten padoł płaczu i przeniósł się w zaświaty, osierociwszy żonę i syna. Pan Zenon podobnie jak uczniem i żołnierzem, tak i synem okazał się wzorowym. Zrezygnował z wyższych studjów i postanowił własną pracą zdobyć chleb dla matki i siebie. Krewni, poruszeni nieco śmiercią ojca dopomogli mu znaleźć zajęcie i nasz bohater zainstalował się na stałe przy stoliku urzędniczym.

W biurze pracowicie odrabiał swoje „kawałki" i nikomu wody nie mącił. Lubili go koledzy, łaskawym okiem patrzyli nań zwierzchnicy, jednem słowem „szło". Stał się jednym z tych malutkich kółek, które zazębiając się wzajemnie tworzą sprawnie działającą całość. Codzień punktualnie o dziewiątej przychodził, pilnie odsiadywał osiem godzin i szedł do domu. Wieczorem, jeśli to była zima szedł do kina lub cukierni; jeśli lato na wyścigi lub do parku. I tak schodził dzień za dniem. Czasem jakiś niewinny, zresztą, flircik przerwał mo-

notonję powszednią i znów wszystko wracało do zwykłego trybu. Pan Zenon przyzwyczaił się już do swego życia, zdziwiłby się mocno, gdyby mu ktoś napomknął, żeby mogłoby się coś zmienić. Prawda, iż z początku się buntował przed tym kieratem codziennym. Jednostajna, szablonowa praca na zależnym stanowisku nie pozwalała ujawnić jakiegokolwiek przejawu własnej indywidualności. Nieubłagany schemat przytłaczał, krępował i brał w swe nieubłagane tryby, z pod których wychodził urzędnik — maszyna ze stemplem, któremu imię legjon. Pan Zenon miał zbyt dużo wrodzonej dyscypliny i karności, aby przez dłuższy czas się buntować, wkrótce całkowicie pogodził się z dotychczasowym stanem rzeczy. Jeśli o czemkolwiek marzył—to o awansie, który niewątpliwie w miarę upływu lat pozwoli mu zdobyć wyższy stopień biurokratycznej drabiny.

Czuł się szczęśliwym, choć ubogo, ale jak to mówią, chędogo. Luksusu nie pożądał. W swojej filozofji życiowej na pierwszym miejscu postawił zasadę: „Ten pan zdaniem moim, kto... i t. d.". Jeśli co kiedykolwiek spędzało mu sen z oka, to chyba myśl, aby nie narazić się przełożonym.

Nagle na tym pięknym i czystym dotyczas choryzoncie poczęły się pojawiać pierwsze chmurki. W biurze poczęto mówić o redukcjach. Pan Zenon oddawna słyszał o bezrobociu. W gazetach co jakiś czas pojawiały się suche cyfry donoszące, że w tym okresie jest ta czy inna liczba bezrobotnych. W umyśle Miarkiewicza majaczył się jakiś mglisty obraz zamkniętych fabryk i manifestujących tłumów robotniczych. Było to w każdym razie coś bardzo odległego. Nie interesował się tem też bardzo; jest przecież rząd, są miarodajne czynniki, do których to zagadnienie należy. Co jego urzędnika X kategorji, może ostatecznie obchodzić, że tylu a tylu górników czy tkaczy zostało zwolnionych z pracy.

Tymczasem teraz zaczęto przebąkiwać, iż w jego biurze szereg urzędników zostanie zredukowanych. Pan Zenon sposępniał, co będzie jeśli jednym z nich on będzie. Dziś tak trudno o pracę. Przecież ta praca to jego jedyne utrzymanie, jego ciężko zdobyty kawałek chleba. Podwoił swe wysiłki biurowe. Wcześniej przychodził, ostatni odchodził. Za wszel-

ką cenę unikał choćby najdrobniejszych uchybień i z niepokojem patrzył w sfinksowe oblicza zwierzchników.

Katastrofa przyszła nagle i nieoczekiwanie. Miarkiewicz się już uspokoił, wierzył w swą nieposzlakowaną pracę. Pewnego popołudnia woźny biurowy ze współczującą miną doręczył mu zawiadomienie o wypowiedzeniu miejsca.

Mały świstek papieru wyrywał go z utartego szlaku. Poczuł, że mu się dzieje jakaś straszna krzywda. Czyż on niema narówni z innemi prawa do życia? Czy poto przez długie lata się uczył, walczył na froncie, pracował, aby ostatecznie znaleźć się w skrajnej nędzy? Z jakąż zazdrością patrzył na ludzi, którzy mając zapewnione spokojne jutro zapełniali gwarne ulice. Po raz pierwszy poczuł do nich nienawiść.

Nieszczęście czyni człowieka spostrzegawczym i ukazuje mu to, czego nieraz dotychczas nie widział. Miarkiewicz dojrzał wśród tłumów zgnębione postacie tych, co podobnie jak on rozpoczęli długą wędrówkę za pracą...

Mniejsza o to czy ów Miarkiewicz czy inny „X" lub „Y" tę pracę znalazł. Z pewnością cały olbrzymi zastęp ludzi zdrowych, chcących zarabiać na kawałek chleba pogrąży się w nędzy. Bezrobocie jest straszliwą klęską społeczną, która wszystkim grozi zagładą. Czyż można dziwić się, że ludzie głodni stają się łatwą zdobyczą agitacji komunistycznej? Żaden katolik nie może zostać wobec tego nieszczęścia obojętnym. Całe społeczeństwo winno wytężyć wszystkie siły dla zaradzenia złemu. Niestety dotychczas krótkowzroczny egoizm sprawia, iż stan z dnia na dzień się pogarsza. Redukuje się już nie jednostki, ale setki i tysiące. Fala bezrobotnych wciąż zatrważająco rośnie, a jednocześnie wzmaga się ogrom nienawiści społecznej. Czyż można się temu zresztą dziwić, gdy robotnik czy drobny urzędnik, pobierający mizerne płace zostaje w celach oszczędnościowych wyrzucony na bruk, podczas gdy przeróżni dyrektorzy zarabiają setki tysięcy. Nie widzą tego ci „rekini", że swym egoizmem gotują sobie zagładę.

Trzeba zmobilizować opinję społeczną, którаby zażądała usunięcia tych krzywd i niesprawiedliwości, które się dzieją i wołają o pomstę do nieba. Każdy, kto mogąc zmiejszyć bezrobocie tego nie robi jest zbrodniarzem wobec społeczeństwa. Istnieją przedsiębiorstwa, w których mogliby być zatrudnieni

nowi pracownicy, lecz się tego nie czyni dla względów ubocznych. Podobne fakty świadczą o zupełnem wyjałowieniu pewnych ludzi z jakichkolwiek pierwiastków etycznych.

Zygmunt Prószyński.

SPRAWOZDANIA i RECENZJE.

Towarzystwo św. Wincentego a Paulo na terytorjum Metropolji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. Celem Towarzystwa jest wspólne pełnienie uczynków miłosiernych co do duszy i co do ciała w duchu i w myśl zasad miłosierdzia chrześcijańskiego. Zadaniem Tow. jest opieka nad ubogimi i nieszczęśliwymi pod względem materjalnym i moralnym przez odwiedzanie ubogich w ich mieszkaniach, rozpowszechnianie wśród nich dobrych i religijnych pism i książek, oraz pełnienie uczynków miłosierdzia wszelkiego rodzaju. W tym celu Towarzystwo zakłada Konferencje i Dzieła specjalne.

Sprawozdanie niniejsze obejmuje czas od 1.VII.31 do 30.VI.32.

Protektorem Towarzystwa jest Jego Eminencja Ks. Kardynał-Prymas Dr. August Hlond, a Jego Delegatem do Tow. Ks. prałat Szambelan Dr. TeodorTaczak, proboszcz par. św. Marcina w Poznaniu.

Rada Wyższa czuwała nad wiernem zachowaniem przepisów Towarzystwa, starała się o utrzymanie Konferencyj w gorliwości przy pracy miłosiernej nad ubogimi, jakoteż o pozyskanie nowych członków, oraz zabiegała usilnie około zakładania nowych Konferencyj.

Prezes Rady W. em. pułk. Loster i wiceprezes jej em. pułk. Sikorski wzięli udział dnia 19.V.32 r. w Zjeździe Konferencyj Diec. Chełmińskiej, zwołanym przez Ordynarjusza Diec., pierwszy z referatem o Radach Centralnych. Na Zjeździe tym utworzono Radę Centralną na Diec. Chełmińską z siedzibą w Grudziądzu i uchwalono dla niej statut.

Na wieść o wielkiej nędzy, jaka zapanowała wśród naszych bezrobotnych rodaków we Francji zwróciła się Rada Wyższa do Rady Generalnej w Paryżu z prośbą o skuteczne zoopiekowanie się nimi przez Konferencje francuskie, na co otrzymała nader przychylną odpowiedź.

Nakładem Rady W. wyszedł z pod prasy „Skrócony Przewodnik Tow. św. Wincentego a Paulo", zawierający wszystkie przepisy, objaśnienia i wskazówki, potrzebne do założenia i prowadzenia Konferencyj. Przewodnik ten ujęty w sposób zwięzły i popularny przy swej niskiej cenie (80 gr.) powinien walnie przyczynić się do łatwego zaznajomienia, kogo należy, z naszem Towarzystwem i stać się Vademecum dla wszystkich, którym leży na sercu rozkwit i tryumf idei miłosierdzia chrześcijańskiego w naszem społeczeństwie.*)

*) Do nabycia we wszystkich księgarniach i u prezesa Rady Wyższ. Tow. p. A. Lostera, Poznań, ul. Szymańskiego 6. Główny skład w księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin.

Rada W. odbyła w roku sprawozdawczym 3 zebrania oraz liczne konferencje pojedyńczych członków zarządu, jakoteż zwołała 4 walne zebrania Konferencyj miasta Poznania, a na grudniowem walnem zebraniu, na którem byli też obecni zamiejscowi delegaci, zdawała sprawozdanie z działalności Tow. za rok 1930/31.

Rada Centralna Chełmińska z siedzibą w Grudziądzu istnieje od 19.V.1932 r.

Prezes: Em. generał Ładoś w Grudziądzu, Lipowa 44.

Wiceprezes: Ks. radca Partyka, proboszcz w Grudziądzu.

Sekretarz: Asesor Michałowski, Grudziądz, Forteczna 19.

Zadaniem Rad Miejscowych jest przewodnictwo wszystkich Konfe-

rencyj danej miejscowości, utrzymanie poczucia jedności Towarzystwa i zjednoczenie sił Konferencyj do wspólnych wysiłków.

Rady Miejscowe istnieją a) w Poznaniu b) w Gnieźnie c) w Bydgoszczy (tworzy się).

Towarzystwo św. Wincentego a Paulo składa się z Konferencyj. w nich pulsuje i koncentruje się jego życie i odbywa się właściwa praca charytatywna. Konferencje posiadają zupełną samodzielność.

Konferencje zbierały się co tygodnia w oznaczonym czasie, by radzić nad sprawami opieki nad ubogimi, nad rozwojem Towarzystwa i nad zdobyciem środków materjalnych. Do źródeł dochodu należały tygodniowe dowolne składki członków czynnych, ofiary członków wspierających i dobrodziejów: kwesty, skarbonki kościelne, subwencje władz i instytucyj społecznych, imprezy i inne dochody.

Każda Konferencja miała na swej opiece znaczną liczbę rodzin najuboższych, które członkowie odwiedzali regularnie co tygodnia w ich mieszkaniach i wręczali im w bonach lub w naturze przeznaczone dla nich przez Konferencję wsparcie, otaczając ich przytem opieką moralną i religijną. Wsparcie składało się z chleba, i na przemian także, wedle możności, z innych artykułów żywności, oraz węgli, mydła, odłożonej odzieży, bielizny, obuwia i t. p. W wyjątkowych razach udzielało się wsparcia w gotówce, przyczem członkowie byli obowiązani dopilnować, by pieniądze były użyte na ten cel, na który je Konferencja uchwaliła.

Konferencje św. Marji Magdaleny, św. Małgorzaty, św. Marcina, św. Wojciecha, św. Antoniego z Padwy i Zmartwychwstania Pańskiego w Poznaniu i św. Wawrzyńca w Gnieźnie obdarowały swoich ubogich na Gwiazdkę i Święcone zbiorowo w sposób uroczysty, Konferencje zaś Zwiastowania N. M. P., Najśw. Serca Jezusa i św. Krzyża w Poznaniu, św. Wojciecha i św. Trójcy w Gnieźnie, wszystkie Konf. w Bydgoszczy, Konf. w Śremie i w Świeciu n/Wisłą w sposób zwykły.

Szereg Konferencyj przyodziało dzieci, przystępujące do I. Komunji św. I tak w Poznaniu Konf. Najśw. Serca Jezusa 32 dzieci. św. Marcina 22 dzieci, Zmartwychwstania P. 21 dzieci, Marji Magd. 10 dz., św. Antoniego Pad. 7 dz., Zwiastowania N. M. P. 5 dz. i Konf. we Wągrówcu 1 dziecko, razem 98 dzieci.

Konf. w Swieciu n/Wisłą udzielała w porze zimowej 30 dzieciom bezpłatne obiady.

Konf. św. Marji Magd., św. Marcina, św. Wojciecha, św. Antoniego Pad. i Zwiastowania N. M. P., w Poznaniu, Konf. w Mosinie i Konf. przy par. św. Wincentego a Paulo w Bydgoszczy dostarczały swoim ubogim regularnie Przewodnika Kat., a Konf. Najśw. Serca Jezusa w Bydgoszczy rozdawała ubogim i ich dzieciom medaliki, szkaplerze, obrazki, czasopisma i książki.

Konf. św. Marji Magd., św. Wojciecha, św. Antoniego Pad. i Zmartwychwstania P. w Poznaniu posiadają bibljoteki, z których korzystają członkowie i ubodzy.

Wszystkie Konferencje starały się, by ubodzy przystąpili w czasie Wielkanocnym do Sakramentów św. Członkowie Konf. św. Antoniego Pad. i Zmartwychwstania P. w Poznaniu przystąpili w Adwencie i we wielkim Poście wspólnie z ubogimi do Stołu Pańskiego. Konfr. św. Wawrzyńca w Gnieźnie urządziła wraz z paraf. Stowarzyszeniem Pań Miłosierdzia jednodniowe rekolekcje (3 nauki) dla ubogich parafji i przystąpiła wraz z nimi do Sakramentów św. Po Komunji św. zaproszono ubogich na śniadanie, przy którem usługiwały panie.

Każda Konferencja Poznania i Gniezna zamawia co roku Mszę św. na intencje Ojca św., Kościoła św., Ojczyzny i Towarzystwa, w czasie której przystępują członkowie do Komunji św.

Konf. św. Wojciecha w Poznaniu spowodowała ochrzczenie 7-letniej dziewczynki i postarała się o pracę dla 4 bezrobotnych.

Konf. św. Antoniego Pad. w Poznaniu przyczyniła się do ochrzczenia

1 żyda, nawrócenia 1 protestanta i przyjęcia Sakramentu Małżeństwa przez 1 dzikie małżeństwo.

Konf. św. Wincentego a Paulo w Bydgoszczy postarała się o ochrzczenie 6-letniego dziecka, w jednym wypadku zapobiegła popełnieniu zdrady małżeńskiej, doprowadziła 1 dzikie małżeństwo do ślubu kościelnego, a 1 umierającego do przyjęcia Sakramentów św., wyszukiwała też pracę dla bezrobotnych. Zrobiwszy w roku ubiegłym dodatnie doświadczenie z przydziałem bezrobotnym nieużytkowanych 24 parcel budowl. do uprawy kartofli i warzywa, postarała się Konferencja w czasie wiosny r. b. o dalsze grunta i przydzieliła bezrobotnym 85 parcel oraz 120 ctr. kartofli do sadzenia. Członkowie Konf. zbierają jeden raz w miesiącu przed kościołem składkę na budowę kościoła św. Wincentego a Paulo. Za zebrane pieniądze zatrudnia się bezrobotnych przy budowie kościoła. Staraniem Konf. został kościołowi ofiarowany ołtarz z figurą św. Wincentego a Paulo.

Konf. Najśw. Serca Jezusa w Bydgoszczy nakłoniła 7 osób do przystąpienia do Sakramentów św., 3 mężczyzn do ponownego wykonywania zaniedbanych praktyk religijnych, 15 par do ślubu kościelnego oraz do ochrzczenia 2 dzieci. Postarała się też dla 6 osób o świadczenia opieki społecznej, sprawiła 1 alumnowi część wyprawy i płaci zań 30 zł. miesięcznie na jego utrzymanie.

Konf. św. Trójcy w Bydgoszczy nakłoniła kilka osób obojętnych we wierze do uczęszczania na nabożeństwa i przyjmowania Sakramentów św. W czasie Mszy św. odprawianych na intencję Konf. przystępują wszyscy członkowie oraz ubodzy wspólnie do Komunji św., a członkowie służą do Mszy św. W marcu b. r. członkowie i ubodzy brali udział w rekolekcjach i przystąpili do Stołu Pańskiego. Dzięki staraniom Konf. otrzymuje jeden ubogi rentę w Ubezpieczalni Krajowej. Dla zasilenia kasy urządzono 3 imprezy, koncert, odczyt i wycieczkę.

Wszystkie Konferencje Bydgoskie urządzają oprócz zebrań tygodniowych członków czynnych co miesiąc zebrania, na które zapraszają członków wspierających i dobrodziejów, na których to zebraniach wygłasza się referaty, a zarząd Konferencji zdaje sprawę z działalności członków czynnych i t. p Te zebrania przyczyniły się niemało do pomyślnego rozwoju, jakim Konferencje Bydgoskie pomimo krótkiego czasu istnienia poszczycić się mogą.

Naogół widać i w jakości Konferencyj i ich działalności znaczny postęp. Do sprawozdania niniejszego przybyło 5 nowych Konferencyj bardzo dobrze funkcjonujących, liczba członków czynnych z 417 wzrosła na 553, członków wspierających z 714 na 974 a dochód z 55,492 zł. 77 gr. na 58,780 zł. 17 gr.

Najbardziej wzrosła liczba ubogich wspieranych przez Konferencje, bo z 865 na 2386 osób, więc prawie się potroiła, wobec tego musiały Konferencje swą materjalną pomoc dla ubogich jeszcze bardziej rozdrobić.

O stanie liczebnym Konferencyj, ich miejscu i czasie zebrań, liczbie członków i ubogich przez nich wspieranych, o źródłach i wysokości dochodów, o jakości i wysokości wsparć ubogim udzielonych poucza osobne „Zestawienie".

Nowozałożone, sprawozdaniem niniejszem jeszcze nieobjęte, Konferencje są następujące: Konf. św. Michała Arch. w nowoerygowanej parafji tejże nazwy w Poznaniu, Konf. Niepokalanego Poczęcia N. M. P. w Główni e – na Osiedlu (Poznań), Konferencje w Krotoszynie, Rychtalu, oraz Konf. w Gdyni, Grudziądzu, Tczewie, Toruniu i innych miejscowościach Pomorza.

Tak więc przejęci wdzięcznością za te wszystkie łaski i dobrodziejstwa, któremi Pan Zastępów nas i naszych ubogich obsypywał, dziękujemy Królowi Miłosierdzia przedewszystkiem za to, że nas do swej Królewskiej służby powołał, a zarazem zanosimy błagalną prośbę, by raczył nas w usiłowaniach naszych błogosławić, do wytrwałości zagrzać, liczbę pracowników na niwie miłosierdzia chrześcijańskiego pomnożyć, a społeczeństwo w obliczu ciągle wzrastającej biedy w tych krytycznych czasach do większej ofiarności pobudzić.